

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP, TOM
PIERWSZY

Henryk Sienkiewicz

Potop, tom pierwszy

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23550778

Potop Tom pierwszy:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Wstęp	4
Rozdział I	16
Rozdział II	41
Rozdział III	51
Rozdział IV	67
Rozdział V	91
Rozdział VI	117
Rozdział VII	131
Rozdział VIII	167
Конец ознакомительного фрагмента.	175

Henryk Sienkiewicz

Potop Tom pierwszy

Wstęp

Był na Żmudzi¹ ród możny Billewiczów, od Mendoga² się wywodzący, wielce skoligacony³ i w całym Rosieńskim⁴ nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa⁵ niepożyte krajowi oddali usługi, za które różnymi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne istniejące do dziś zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majątności i w okolicy Rosień, i dalej ku Krakinowu⁶, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży⁷ – aż hen, jeszcze

¹ Żmudź – płn.-zach. część Litwy. [przypis redakcyjny]

² Mendog a. Mindowe (lit. *Mindaugas*, ok. 1203–1263) – zjednoczyciel, książę, a następnie król Litwy. [przypis redakcyjny]

³ wielce skoligacony – spokrewniony z wieloma liczącymi się rodzinami, zwł. przez małżeństwo; spowinowacony. [przypis redakcyjny]

⁴ Rosieńskie – ziemia w środkowej części Litwy, jej ośrodkiem są Rosienie (lit. *Raseiniai*), położone ok. 80 km na płn. zach. od Kowna. [przypis redakcyjny]

⁵ Mars (mit. rzym.) – bóg wojny. [przypis redakcyjny]

⁶ Krakinów (lit. *Krekenava*) – miasteczko w środkowej części Litwy, położone ok. 30 km na pld. zach. od Poniewieża. [przypis redakcyjny]

⁷ Lauda, Szoja, Niewiaża – rzeki w środkowej części Litwy. [przypis redakcyjny]

za Poniewieżem⁸. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu⁹ i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza patriarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie mieszkał w gnieździe rodzinnym, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy naokół jakoby morzem ziemiami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem kilka było tylko większych domów w okolicy, jako Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyillingowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanymi „okolicami” albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami zamieszkałymi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków

⁸ *Poniewież* (lit. *Panevėžys*) – miasto w środkowej części Litwy nad rzeką Niewiażą, ok. 90 km na płn. wsch. od Rosień. [przypis redakcyjny]

⁹ *komput* – liczba stałego wojska w I Rzeczypospolitej XVII i XVIII w., ustalana na sejmie wielkim osobno dla Korony i dla Litwy. [przypis redakcyjny]

albo zaścianki od rodów jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których swego czasu Batory osadził za męstwo okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach na dobrej glebie roili się Butrymowie, najdłuższe chłopcy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, zajazdów lub wojen murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszcza Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach; panny ich słynęły pięknnością, tak iż w końcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity¹⁰ pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewiczze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnymi.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały, i ludzie innymi w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła¹¹ jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła

¹⁰ *Upita* (lit. *Upytė*) – w XVII w. miasteczko, dziś wieś, położona ok. 12 km na płd. zachód od Poniewieży. [przypis redakcyjny]

¹¹ *kwitnęła* – dziś popr. forma 3 os. lp r.ż. cz.przesz.: kwitła. [przypis redakcyjny]

wziętości, gdyż przed niewielką laty, czyniąc pod Łojowem¹² przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła¹³ okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi jako towarzysze na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych¹⁴. W ogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materię sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on tego chce, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku¹⁵, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej i ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem niż klientem potężnych oligarchów na Birzach¹⁶ – i to wielce cenionym, bo na

¹² *bitwy pod Łojowem* (1649 i 1651) – pod Łojowem, leżącym nad Dnieprem, dziś w pld.-wsch. części Białorusi, wojska polskie pod wodzą Janusza Radziwiłła (1612–1655) dwukrotnie pokonały Kozaków Chmielnickiego. [przypis redakcyjny]

¹³ *Janusz Radziwiłł herbu Trąby* (1612–1655) – hetman wielki litewski, wojewoda wileński. [przypis redakcyjny]

¹⁴ *pocztowy* – członek pocztu, zbrojnego orszaku należącego do bogatszego szlachcica. [przypis redakcyjny]

¹⁵ *ordynek* (z niem. *Ordnung*) – porządek, szyk, szereg. [przypis redakcyjny]

¹⁶ *Birże* (lit. *Biržai*) – miasto w pñ. części Litwy, rezydencja Radziwiłłów. [przypis redakcyjny]

każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiąc szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów lub Gasztowtów nie lekceważył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w roku 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owóż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szkwowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta – stary pułkownik, rażony apopleksją¹⁷, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodyjowski, młody, ale bardzo wstawiony żołnierz, którego w zastępstwie pana Herakliusza laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękanе, pogńębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekające, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięzcy, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pograżył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodyjowskiemu. Owszem, ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu

¹⁷ *apopleksja* (z gr.: paraliż) – udar mózgu. [przypis redakcyjny]

wojskowym i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodajowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment¹⁸ najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, przy czym pan Wołodajowski własną ręką ściał tegoż regimentu oberszta¹⁹; jako na koniec, otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitym ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już z góry umowa, że w takim razie pan Wołodajowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowym obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. Toteż cała Lauda na rękę go prawie nosiła, a okolica wydzieriała okolicy. Klócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać najdłużej gościna. On zaś tak sobie ową bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do

¹⁸ *regiment* – pułk. [przypis redakcyjny]

¹⁹ *oberszt* (z niem. *Oberst*) – pułkownik. [przypis redakcyjny]

Birż, by tam jako tako po klęsce przyjść do sprawy – on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencję założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie: naprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzji, którą był pod Cybichowem jeszcze otrzymał, odjęło mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić, szlachta zaś, kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopóki by za mąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej.

„...Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą i złością ludzką nikt bezpieczeń ani próżen bojaźni być nie może – niechaj sieroty przez pamięć moją od przygody strzegą.

Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczeństwie zażywała z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu, dąmam, darowuję i zapisuję, aby

w tym przeszkody jakiej nie miał. Kto by zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował albo w tym krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica, jeszcze z młodych lat aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i *invidia*²⁰ panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały – i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica ojca, miecznika orszańskiego, się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubować. Tamże za wspólną zgodą postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stadło uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chybaby pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swą splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśliby substancję²¹ swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie wedle Orszy²² łącznie zdarzyć się

²⁰ *invidia* (łac.) – zazdrość. [przypis redakcyjny]

²¹ *substancja* (z łac.) – tu: majątek, stan posiadania. [przypis redakcyjny]

²² *Orsza* – miasto we wsch. części dzisiejszej Białorusi, ok. 200 km na wsch. od

może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

Wszelako jeśliby za szczególną łaską Boga wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała boża przed ludzką iść powinna...”

W taki to sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra z dawna wiedziała, co ją czeka, i szlachta z dawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała – zresztą umysły w czasach klęski czym innym były zajęte, tak że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzeju, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szklowem z własną chorągiewką i orszańskimi wolentarzami²³ stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnie by nie uszła niepostrzeżenie. Familianci²⁴ to bowiem byli w Orszańskim Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola, kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu

Mińska, ok. 100 na zach. od Smoleńska, miejsce dwóch bitew między wojskami polskimi i moskiewskimi (1512 i 1564). [przypis redakcyjny]

²³ *wolentarz* – ochotnik. [przypis redakcyjny]

²⁴ *familiant* – członek dobrej szlacheckiej rodziny. [przypis redakcyjny]

nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedne za drugimi, jak upadł Smoleńsk²⁵. Województwo smoleńskie, w którym leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnym zamieszaniu, w powszechnej trwodze rozproszyli się ludzie jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłoneła z wolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice” poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na *congressus*²⁶ pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze Myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, Puszcza Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicz Dymni w dymach mięso na przyszlą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza

²⁵ *Smoleńsk* – miasto nad Dnieprem, dziś w zach. Rosji. [przypis redakcyjny]

²⁶ *congressus* (łac.) – spotkanie, zjazd. [przypis redakcyjny]

Gasztowta i Kasjana Butryma, dwóch patriarchów okolicznych – wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. Toteż gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencji²⁷ nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majątności młodej dziedziczki; nie poprzesyrywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajęchano pastwisk. Owszem, wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czym która „okolica” mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni dosyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyna od Domaszewiczów Myśliwych, smoła i dziegieć²⁸ od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna”, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie jak i ona.

Tymczasem przyszły wici zwołujące szlachtę – więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrósł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył

²⁷ *dyferencja* – różnica zdań, spór. [przypis redakcyjny]

²⁸ *dziegieć* – lepka ciecz uzyskiwana w wyniku suchej destylacji drewna lub kory, ze względu na swoje właściwości bakteriobójcze stosowana daw. jako lekarstwo, a także jako smar, impregnat i klej. [przypis redakcyjny]

do Grodna i tam miejsce jeneralnego zbioru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie na ostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunelek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiała się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jakoby wojski²⁹ między pacunelkami pozostał. Opustoszały „okolice” i jeno starcy z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach. Cicho było w Poniewieżu i Upicie – czekano wszędy na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodoktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudańskich nie widując.

²⁹ *wojski* – urzędnik, zobowiązany do opieki nad pozostałymi w kraju rodzinami szlachty, kiedy ta brała udział w pospolitym ruszeniu. [przypis redakcyjny]

Rozdział I

Przyszedł nowy rok 1655. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź³⁰ świętą grubym na łokieć białym kożuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią³¹, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężelej od mrozu powierzchni; zwierz zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie, szare ptactwo stukalo dziobami do szyb szedzią i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej wraz z dziewczętami dworskimi. Dawny to był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tym łacniej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebnymi były, a w zamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich po polsku nie umiało.

Panna Aleksandra wraz z krewną swą panną Kulwiecówną siedziały w pośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach;

³⁰ Żmudź – płn.-zach. część Litwy. [przypis redakcyjny]

³¹ okiść – gruba warstwa ciężkiego śniegu powodująca łamanie gałęzi. [przypis redakcyjny]

wszystkie kądziel³² przędły. Na potężnym kominie ze zwieszonym okapem paliły się kłody sosnowe i karpy³³, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub skrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków³⁴ i łuczywa³⁵. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisiały na niciach różnokolorowe gwiazdki uczynione z opłatków, kręcące się w ciepłe, a zza belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony jakby tureckie zdobyczne buńczuki³⁶. Cały niemal pułap był nimi założony. Po ścianach ciemnych błyszczały jakoby gwiazdy statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi, przy drzwiach, kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami³⁷, mruczając pod nosem pieśń monotonną, panna Aleksandra przesuwiała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

³² *kądziel* – pęk lnu, konopi lub wełny przygotowany do przędzenia. [przypis redakcyjny]

³³ *karpa* – pniak i korzenie pozostałe po ścięciu drzewa. [przypis redakcyjny]

³⁴ *brzeźniak* – gałązki brzoźowe. [przypis redakcyjny]

³⁵ *łuczywo* – smolne drzewo, używane do oświetlania lub na rozpałkę. [przypis redakcyjny]

³⁶ *buńczuk* – drzewce zakończone kulą lub grotem, ozdobione końskim włosiem, symbol władzy wojskowej. [przypis redakcyjny]

³⁷ *żarna* – daw. przyrząd do mielenia ziarna, składający się z dwóch trących o siebie kamieni. [przypis redakcyjny]

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionymi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przedły gorliwie jakby na wyścigi, surowymi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystrymi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę jakby w oczekiwaniu, rychłoli Żmudzinowi mleć zakaze i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przedły, przedły; wiły się nici, warczały wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:
– Padłś!

Panna Aleksandra podnosiła głowę jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej białą twarz i poważne, błękitne oczy patrzące spod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żałobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z

ojcem w Wodoktach więcej z rusznicą³⁸ po bagnach latał, niż na nią patrzył.

„Gdzie on jest i jaki on jest teraz?” – oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką i trudną podróż do Orszy³⁹. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazji kawaler, choć gorączka okrutny”. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Billewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować⁴⁰ się pannie; tymczasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny pociągnął na pola beresteckie⁴¹. Tam postrzelon, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znów była wojna – i tak zeszyły owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czym rozmyślać panna Aleksandra, a może

³⁸ *rusznica* – ręczna broń palna o długiej lufie. [przypis redakcyjny]

³⁹ *Orsza* – miasto we wsch. części dzisiejszej Białorusi, ok. 200 km na wsch. od Mińska, ok. 100 na zach. od Smoleńska, miejsce dwóch bitew między wojskami polskimi i moskiewskimi (1512 i 1564). [przypis redakcyjny]

⁴⁰ *akomodować się* (z łac. *accomodare*: przystosować, poświęcić) – tu: przestawić się. [przypis redakcyjny]

⁴¹ *na pola beresteckie* – bitwa pod Beresteczkiem (1651), zwycięstwo wojsk polskich nad siłami kozacko-tatarskimi; *Beresteczko* – miasto nad Styrem na Wołyniu, w zach. części Ukrainy. [przypis redakcyjny]

tęskniła do nieznanego. W sercu czystym, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tym ognisku rozpałił się płomień spokojny, ale jasny, równy, silny i jak znicz litewski nie gasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry, i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadejść z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: *zali*⁴² on z dobrej woli ją zaślubi i gotowością na jej gotowość do kochania odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem dotrzymywały najczęściej układu. W samym więc zaswataniu jej nie widziała panienka nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążyła płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?” I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa samotnie na rozległych polach stojące: „Ktoś ty jest? Jakiś jest? Żyw chodzisz po świecie? Czy może już gdzie tam poległeś?... Dalekoś ty? Czy blisko? ...” Otwarte serce panny jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimo woli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym nocą przykrytym: „Bywaj, junaku! Bo nie masz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!”

Wtem, jakby w odpowiedź wołaniu, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos

⁴² *zali* (daw.) – czy. [przypis redakcyjny]

dzwionka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przysyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika; myśl tę potwierdziła panna Kulwiecówna mówiąc:

– To od Gasztowtów po driakiew⁴³.

Nieregularny głos dzwionka targanego przy dyszlu brzmiał coraz wyraźniej; na koniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

– Obacz, kto przyjechał – rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żaren, rzekł z flegmą:

– Panas Kmitas.

– A słowo stało się ciałem! – wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Przędki zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeciona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem we drzwiach pojawiła się wyniosła jakaś postać w

⁴³ *driakiew* – używany w medycynie ludowej uniwersalny lek roślinny, złożony m.in. z cynamonu, imbiru, dziurawca, miodu, mięsa żmii, ziemi z Lemnos, często z dodatkiem opium. [przypis redakcyjny]

szubie⁴⁴ i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

– Hej! A gdzie to wasza panna?

– Jestem – odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to, przybyły zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

– Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

– Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

– Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? – spytała panna.

– Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnymi opłakał, dobrodzieja mojego, gdym się o jego zgonie od owych szaraczków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczerzy to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka

⁴⁴ szuba – futro, płaszcz futrzany. [przypis redakcyjny]

rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt⁴⁵ pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszała nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła:

– To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

– Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat⁴⁶, który naprzód chciałbym odziedziczyć. Jeno mi się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot tak! Odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! – Ot – tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił nie spodziewającą się takiego postępku Oleńkę za rękę i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą⁴⁷ zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rzęsami, stała tak światłem i własną pięknnością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

– Jak mi Bóg miły, rarytet⁴⁸! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

– Jeszcze nieprędko, jeszcze nie waćpana – odrzekła

⁴⁵ *konterfekt* – portret, wizerunek. [przypis redakcyjny]

⁴⁶ *legat* – spadek, zapis w testamencie. [przypis redakcyjny]

⁴⁷ *fryga* – zabawka dziecięca, bąk na sznurku. [przypis redakcyjny]

⁴⁸ *rarytet* – rzadkość, tu: niezwykła piękność. [przypis redakcyjny]

Oleńka.

– Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! Myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale to, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów⁴⁹ takiemu – i piece mu malować, nie one specjały, którymi oczy pasę. Miłoś to taki legat dostać, niech mnie kule biją!

– Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiadał, żeś waćpan gorączka.

– Tacy u nas wszyscy w Smoleńskim, nie jak wasi Żmudzini. Raz-dwa! – I musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

– Ej! To chyba Tatarzy u was mieszkają?

– Wszystko jedno! A waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

– Po sercu, to jeszcze nie wiem.

– Niechbyś nie była, to bym się nożem pchnął!

– Śmiejący się to waćpan mówisz... ależ my to jeszcze w czeladnej!... Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczera przygodzi – proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

– Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrzał bystro:

– Ciotuchna? – spytał. – Jaka ciotuchna?

– Moja, panna Kulwiecówna.

⁴⁹ *bizun* – daw. bat, uderzenie batem. [przypis redakcyjny]

– A to i moja – odparł zabierając się do rąk całowania. – Dla Boga! Toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus⁵⁰. Czy nie krewniak, proszę?

– To z tych samych! – odrzekła dygając stara panna.

– Dobry chłop, ale wicher jak i ja! – dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

– Łuna od niego bije – mówiła jedna. – Kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

– A oczy ma jak ryś, aż nimi kłuje – odrzekła druga. – Takiemu się nie przeciw!

– Najgorzej się przeciwiać! – odpowiedziała trzecia.

– Panną jak wrzecionem okręcił! Ale już to znać, że mu się udała bardzo, bo i komuż by się ona nie udała?

– Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na końcu świata.

– Szczęśliwa panna!

– Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! Złotoż to, nie rycerz!

⁵⁰ *hippocentaurus* (łac., mit. gr.) – centaur, pół-koń a pół-człowiek. [przypis redakcyjny]

– Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, który jest w Pacunelach u starego Pakosza, piękny kawaler.

– Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana Kmicica! Już takiego chyba na świecie nie ma!

– Padł! – zawołał nagle Żmudzin, któremu znów się coś w żarnach popsuło.

– A nie pójdziesz, ty kudłaty, ze swoimi wymysłami! Dajże już spokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! Trudno lepszego niż pan Kmicic na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach⁵¹ takiego nie ma!

– Taki to się i przyśni!

– Niechby się choć przyśnił...

W taki to sposób rozprawiły ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co duchu w izbie stołowej, a w gościnnej siedziała panna Aleksandra sam na sam z Kmicicem, bo ciotka Kulwiecówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy iskrzyły mu się coraz bardziej, na koniec rzekł:

– Są ludzie, którym majątność nad wszystko milsza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale ja bym wacpanny za żadne skarby nie oddał! Dalibóg, im więcej patrzę, tym większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew to chyba wacpanna korkiem przypalonym malujesz?

– Słyszałam, że tak płoche czynią, ale jam nie taka.

⁵¹ *Kiejdany* (lit. *Kėdainiai*) – miasto w środkowo-zach. części Litwy, położone nad rzeką Niewiażą, ok. 40 km na płn. od Kowna. [przypis redakcyjny]

– A oczy jakoby z nieba! Od konfuzji⁵² słów mnie brakuje.

– Nie bardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem⁵³ na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

– To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast czy w ogień śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

– Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

– Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, a rad bym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem niżli na pokojach dworskich.

– Ejże, nic to nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! – odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu od razu serce jak воск stopniało i odrzekł:

– Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

– Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą!

Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe jakoby wilcze zęby w uśmiechu.

– Jak to? – rzekł. – Małoż to ojcowie nałamali na mnie różeg w konwencie⁵⁴, abym do statku⁵⁵ przyszedł i różne piękne maksymy

⁵² *konfuzja* – zakłopotanie. [przypis redakcyjny]

⁵³ *obces* – tupet, zuchwałość. [przypis redakcyjny]

⁵⁴ *konwent* – klasztor, zakon; szkoła klasztorna. [przypis redakcyjny]

⁵⁵ *statek* – stateczność, powaga, umiar. [przypis redakcyjny]

spamiętał, przewodniczki żywota...

– A którażeś najlepiej spamiętał?

– „Kiedy kochasz, padaj do nóg” – ot tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienka zaś wołała, chowając nogi pod stół:

– Dla Boga! Tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan spokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie...

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

– A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

– Wstańże waćpan.

– Już wstaję.

– Siadaj waćpan.

– Już siedzę.

– Zdrajca z waćpana, Judasz!

– A nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!... Chcesz się przekonać?

– Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały jak młodemu żrebcowi szlachetnej krwi.

– Aj! Aj! – mówił. – Co to za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie, wszyscy święci, bo nie usiedzę!

– Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

– Ba! Znałem jeno konterfekt. Każę tego malarza w smołę, a potem w pierze wsadzić i po rynku w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacź! – Nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy na ów konterfekt poglądając: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie – mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: Mam czas! Żeniaczka nie przepadnie! Panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwilem się ze wszystkim woli ojcowskiej, Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, żem był głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicje czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól waćpanna rączki ucałować.

– Lepiej nie pozwolę.

– Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: „Proś, a nie dają, to sam weź!”

Tu pan Andrzej przypił się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiecówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencja⁵⁶, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wzięwszy się pod ręce jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych, i omszały gąsiorzek

⁵⁶ konfidencja – poufałość. [przypis redakcyjny]

wina moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, rażno i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicic zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije, potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

– To waćpan nie spod Orszy jedziesz?

– Bo ja wiem skąd?!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urywał.

– A żeś się to waćpan ważył takiej potężde oponować, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

– Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka już we mnie natura!

– Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

– Ej! Nakrywali mnie tam czapką i ręką jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzie indziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny ten półgęsek⁵⁷!

– W imię Ojca i Syna! – zawołała z nieudanyim przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

– Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

⁵⁷ *półgęsek* (daw.) – połowa tylnej części gęsi bez nogi i bez kości, obszyta w gęsą skórę i uwędzona. [przypis redakcyjny]

– Miałem dwieście swoich dragoników⁵⁸, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdzieś mógł, nie przebredzając. Dobrzy pachółkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej później pójdą wronom na frykasy⁵⁹...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

– Takich drapichrustów jeszcze waćpanna w życiu nie widziała. Niech im kat świeci! Oficyjerowie – wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale prawie na każdym jest kondemnatka⁶⁰. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z nimi robić?

– To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

– Tak jest. Nieprzyjaciół zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli jako miotły od ciągłego zamiatania, więc mi księżę wojewoda hiberny⁶¹ w Poniewiezu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony odpoczynek!

– Jedz waćpan, proszę.

– Ja bym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewiezu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjadą

⁵⁸ *dragon* – żołnierz walczący pieszo, a poruszający się konno. [przypis redakcyjny]

⁵⁹ *frykas* – wyszukana, smakowita potrawa. [przypis redakcyjny]

⁶⁰ *kondemnata* – w daw. prawie pol. wyrok skazujący wydawany zaocznie. [przypis redakcyjny]

⁶¹ *hiberna* – danina pieniężna pobierana w Polsce w XVII i XVIII w., przeznaczona na utrzymanie wojska w zimie. [przypis redakcyjny]

waćpannie czołem bić.

– A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

– Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieża na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

– Pij no waćpan...

– Ja bym dla waćpanny i truciznę wypił...

– Ale o śmierci dziadusia i o testamencie to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

– A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

– Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczym...

– Oni też to samo mówili... Ho! Harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie zachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki⁶² bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja słysząc, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

– Jezus Maria! I waćpan to uczynił?

Kmicic spojrzał zdziwiony.

– Nie przestraszaj się waćpanna... Nie uczynilem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Alem sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze

⁶² *munsztułek* (daw.) – nagroda za dobrą nowinę. [przypis redakcyjny]

przed waćpanna obmówią.

– Wielkie to szczęście! – rzekła oddychając głęboko Oleńka – bo inaczej na oczy bym waćpana widzieć nie mogła.

– A to jakim sposobem?

– Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszczyk zawsze się w nich kochał i na wojnę z nimi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz. Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

– To ja o niczym nie wiedziałem! Niech mnie usieką, jeśli wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas: kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jedną kobyłę nie siadają... Dalibóg, że takim szerepetkom⁶³ nic do Kmiciców ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

– Dziaduś powiadał, że substancja⁶⁴ nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczcivi ludzie, inaczej by ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał się i otworzył szeroko oczy.

– Ich? Opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? Wszystką szlachtę laudańską?...

– Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie

⁶³ *szerepetka* – człowiek z gminu, przybłęda. [przypis redakcyjny]

⁶⁴ *substancja* (z łac.) – tu: majątek, stan posiadania. [przypis redakcyjny]

powiedzieli?

– Byłbym ich... Ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... Wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? Zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... Ej! Nie żartuj no waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

– Panie Andrzeju, ja nie żartuję... Świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem; ale jeśli im ojcem za przykładem dziadusia będziesz, jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nie tylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej brzmiał jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprawdzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatowały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

– Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny prócz mnie opiekunem nie będzie. Nie tylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają!

Panna Aleksandra spoważniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

– Żle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycje⁶⁵ dziada

⁶⁵ kondycje (z łac.) – warunki. [przypis redakcyjny]

nieboszczyka albo trzeba wszystkie przyjąć, albo wszystkie odrzucić – rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się przykrzyć ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci ciężcy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mniemam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

– Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędki, to będzie najlepiej!

– Nie wypada teraz o tym mówić w czasie żałoby...

– Aj! A długo będę musiał czekać?

– Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej jak pół roku.

– Wyschnę do tego czasu jak trzaska⁶⁶. Ale się już nie gniewajmy. Jużes waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, to bym go rozdarł, a gdy przejdzie, to bym zszył!

– Strach z takim żyć – odrzekła już weselej Oleńka.

– No! Zdrowie waćpanny! Dobre to wino, a u mnie szabla i wino to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć! Waćpanna to mnie usidlisz swoimi oczami i w niewolnika obrócisz, mnie,

⁶⁶ *trzaska* – mały kawałek drewna, używany zazwyczaj na podpałkę. [przypis redakcyjny]

którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot i teraz! Wołałem z chorągiewką na własną rękę chodzić niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! Jeśli się co we mnie nie spodoba, to i przebac, bom się manier pod harmatami⁶⁷ uczył, nie we fraucymerach⁶⁸ – w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. Toteż, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ścigają – nic to! Ludzie go szanują, byle fantazję miał kawalerską. *Exemplum*⁶⁹: moi kompanionowie, którzy gdzie indziej dawno by w wieżach⁷⁰ siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w butach i przy szabli chodzą i partiom hetmania, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika, czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna – to stawać, sejmik – to gardłować, a mało języka – to dalejże szablą! Ot, co jest! Takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

– Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie – odparła spuszczając oczy panienka.

⁶⁷ *harmata* (daw.) – armata. [przypis redakcyjny]

⁶⁸ *fraucymer* (z niem. *Frauenzimmer*) – komnata kobiet, pokój dla dam; damy dworu, stałe towarzystwo królowej lub księżnej. [przypis redakcyjny]

⁶⁹ *exemplum* (łac.) – przykład. [przypis redakcyjny]

⁷⁰ w *wieżach* – w więzieniu. [przypis redakcyjny]

– A dajże jeszcze rączyny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła. Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, któregom jeszcze nie widział.

– Dam waćpanu przewodnika.

– Ej, obejdzcie się. Już ja przywykłem tłuc się po nocach. Mam pachółka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... Wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym ogłoszono za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewczę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze rączyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić z wolna na wielkim gdańskim zegarze w jadalnej izbie stojącym.

– Dla Boga! Czas! Czas! – zawołał Kmicic. – Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinięcie palca?

– Kiedy indziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

– Co dzień! Chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

– Dobranoc, królowo miła – mówił – śpij smaczno, bo ja to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

– Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej

dam waćpanu człowieka z kagankiem⁷¹, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

– A cóż to ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik⁷² do sanek. Dobranoc, najmiłsza, dobranoc!

– Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzyć raz jeszcze. Tym posłał pan Jędrzej żołnierskim obyczajem całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabrzączał dzwonek i jał brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości takie dziwne nastąpiło milczenie. Panienska nadstawiła uszu, czy nie dosłyszysz jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! Już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę – i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Z wolna wzięwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i kłękła

⁷¹ *kaganek* – używana daw. mała lampka w kształcie miseczki z dziobkiem i uchwytem. [przypis redakcyjny]

⁷² *bandolet* – lekka strzelba z krótką lufą. [przypis redakcyjny]

do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli jakby na skrzydłach pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... Pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi jak na jawie płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe jak u młodego psiaka zęby. Trudno bowiem miała przed sobą zapierać poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazją, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach głowę jakby turecki dzianet⁷³ podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają...” To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! – mówiła sobie panna. – Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienka – i to ją ogarniała błogość niczym niezmacona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w rękę.

– Strasznieście długo siedzieli! – rzekła. – Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali – Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosymi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na

⁷³ *dzianet* – piękny, rasowy koń. [przypis redakcyjny]

szyję, a złożyłwszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła
pieszczotliwym głosem:

– Ciotuchna, aj, ciotuchna!

– Oho! – mruknęła stara panna podnosząc w górę oczy i
świecę.

Rozdział II

We dworze w Lubiczu, gdy przedem pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sieni, by pana witać, bo wiadano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszły pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszków pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwoneków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „*Haeres*⁷⁴! *Haeres* przyjechał!” – i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsc, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słaniają się, i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i

⁷⁴ *haeres* (łac.) – dziedzic. [przypis redakcyjny]

burda sławny, ze straszną blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanion”, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jego to teraz osłaniała przed karą wojna i protekcja pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskiem⁷⁵, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz trzymając w obu rękach roztruchanik⁷⁶, szniak, dąbniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mściławskiego, z którego był banitem⁷⁷ za zabójstwo dwóch szlachty posesjonatów⁷⁸. Jednego w pojedynku usieknął, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć znaczne ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadiaka to był, w ręcznym spotkaniu nieźrównany. Trzeci z kolei szedł Rekuć-Leliwa, na którym krew nie ciążyła, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on za to w kości przegrał i przepił – od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic

⁷⁵ *Orszańskie* – ziemia we wsch. części dzisiejszej Białorusi, ze stolicą w Orszy. [przypis redakcyjny]

⁷⁶ *roztruchan* – wielki, ozdobny kielich. [przypis redakcyjny]

⁷⁷ *banitem* – dziś popr. forma N. lp: banita. [przypis redakcyjny]

⁷⁸ *posesjonat* – właściciel posiadłości ziemskiej. [przypis redakcyjny]

go ochraniał, gdyż na czekaniku⁷⁹ pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający – i Zend, kawalkator⁸⁰, który zwierza i wszelkie ptactwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowe ujeżdżał, za co lafę⁸¹ pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły!
gospodarzu miły!
Byś pić mógł z nami aż do mogiły,
aż do mogiły!

Inni powtórzyli chórem, po czym pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny pucharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:
– Zdrowie mojej dziewczyny!
– *Vivat! Vivat!* – krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drzeć w ołowianych oprawach.
– *Vivat!* Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

⁷⁹ *czekan* – tu: ludowy flet czeski lub węgierski. [przypis redakcyjny]

⁸⁰ *kawalkator* – zawodowy trener i ujeżdżacz koni, szczególnie ceniony w Rzeczypospolitej szlacheckiej. [przypis redakcyjny]

⁸¹ *lafa* – daw. płaca, żołd. [przypis redakcyjny]

Pytania poczęły się sypać:

– A jakoż wygląda? Hej! Jędrus! Bardzo gładka? Czy taka jak sobie imaginowałeś? Jest-li druga taka w Orszańskim?

– W Orszańskim? – zawołał Kmicic. – Kominy przy niej naszymi orszańskimi pannami zatykać!... Do stu piorunów! Nie masz takiej drugiej na świecie!

– Tegośmy dla cię chcieli! – odpowiedział pan Ranicki. – Ano, kiedy wesele?

– Jak się żałoba skończy.

– Furda⁸² żałoba! Dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

– Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro, Jędrusiu!

– Ostro, Jędrusiu! – poczęli wołać wszyscy razem.

– Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię!
– krzyknął Kokosiński.

– Nie daj czekać niebożętom!

– Mości panowie! – rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa – popijem się na weselu jak nieboskie stworzenia!

– Moi mili barankowie – odpowiedział Kmicic – pofolgujcie mi albo lepiej mówiąc: idźcie do stu diabłów, niechże się po moim domu obejrzą!

– Na nic to! – odparł Uhlik. – Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu; jeszcze tam parę gąsiorków z pełnymi brzuchami stoi.

– My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! – rzekł Ranicki.

⁸² *furda* (daw.) – błahostka. [przypis redakcyjny]

– Stajnia dobra! – wykrzyknął Zend. – Jest dwa bachmaty⁸³, dwa husarskie⁸⁴ przednie, para żmudzinów⁸⁵ i para kałmuków⁸⁶, i wszystkiego po parze jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzymy.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje, i śmieli się.

– Takież tu porządki? – spytał uradowany Kmicic.

– I piwniczka jako się patrzy – zapiszczał Rekuć – ankary smoliste i gąsiorzy spleśniałe jakoby chorągwie w ordynku stoją.

– To chwala Bogu! Siadajmy do stołu!

– Do stołu! Do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

– Zdrowie podkomorzego Billewicza!

– Głupi! – odparł Kmicic. – Jakże to? Nieboszczyka zdrowie pijesz?

– Głupi! – powtórzyli inni. – Zdrowie gospodarskie!

– Wasze zdrowie!...

– By nam się w tych komnatach dobrze działa!

Kmicic rzucił mimo woli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu

⁸³ *bachmat* – koń używany daw. przez jazdę polską i tatarską. [przypis redakcyjny]

⁸⁴ *koń husarski* – specjalnie wyhodowana rasa wysokiego, odpornego i szybkiego konia służącego husarii w walce. [przypis redakcyjny]

⁸⁵ *żmudzin* – koń żmudzki, rasa konia domowego, hodowana na Litwie i Żmudzi, głównie do prac rolnych i do zaprzęgu. [przypis redakcyjny]

⁸⁶ *kałmuk* – mały, krępy koń stepowy. [przypis redakcyjny]

surowych w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów billewiczowskich wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była niska. Nad obrazami długim, jednostajnym szeregiem wisały czaszki żubrów, jelenie, łosie, w koronach z rogów, niektóre już szerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były nimi ubrane.

– Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek!
– rzekł Kmicic.

– Jutro zaraz pojedziem albo pojutrze. Trzeba i okolicę poznać
– odparł Kokosiński. – Szczęśliwyś ty, Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

– Nie tak jak my! – jęknął Ranicki.

– Wypijmy na pocieszenie! – rzekł Rekuć.

– Nie! Nie na pocieszenie! – odpowiedział Kulwiec-Hippocentaurus – ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! On to, moi moi panowie, przytulił nas tu w swoim Lubiczu, nas, biednych *exulów*⁸⁷, bez dachu nad głową.

– Słusznie mówi! – zawołało kilka głosów. – Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

– Ciężka nasza dola! – pisał Rekuć. – W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

– Dajcie spokój! – mówił Kmicic – co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli go w

⁸⁷ *exul* (łac.) – wygnaniec. [przypis redakcyjny]

ramiona braci. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

– W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! – wołał Kokosiński – choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

– Dajcie spokój! – powtarzał Kmicic.

– Nie wyganiaj! I tak nas wygnali, nas, szlachtę i familiantów! – wołał żałośnie Uhlik.

– Do stu kaduków! Któż was wygania? Jedzcie, pijcie, śpijcie, czego, u diabła, chcecie?

– Nie przecz, Jędrusiu – mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki jak na skórze rysia – nie przecz, Jędrusiu, przepadliśmy z kretelem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniami oczyma na obecnych:

– Chyba, że się fortuna odmieni!

A wszyscy zawrzaśli zaraz chórem:

– Co się nie ma odmienić!

– Jeszcze za swoje zapłacimy.

– I do fortun dojdziem.

– I do godności!

– Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

– Zdrowie wasze! – zawołał Kmicic.

– Święte twoje słowa, Jędrusiu! – odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe pucołowate policzki. – Bogdaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy

jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jął śpiewać: „Len mędlila na mędlicy!” – co widząc pan Uhlik dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fehmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

– Ty tak, ja tak! Ty tniesz, ja mach! Raz! Dwa! Trzy! – Szach!

Olbrzymi Kulwiec-Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, na koniec kiwnął ręką i rzekł:

– Kiep⁸⁸ z ciebie! Machaj zdrów, a tak i Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

– Bo jemu nikt nie dotrzyma; ale ty się spróbuj!

– I ze mną na pistolety nie wygrasz.

– O dukat strzał!

– O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, na koniec wykrzyknął, ukazując na czaszki:

– Między rogi! O dukat!

– O co? – spytał Kmicic.

– Między rogi! O dwa dukaty! O trzy! Dawajcie pistolety!

– Zgoda! – krzyknął pan Andrzej. – Niech idzie o trzy. Zend!

Po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniejsze i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił

⁸⁸ *kiep* – głupiec, dureń. [przypis redakcyjny]

z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

– Nabity? – spytał.

– Nabity!

– O trzy! Cztery! Pięć dukatów! – wrzeszczał pijany Kmicic.

– Cicho! Chybisz, chybisz!

– Utrafię, patrzcie!... At! Do tej czaszki, między rogi... raz, dwa!...

Wszyscy zwrócili uwagę na potężną czaszkę łosią wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiało mu się w dłoni.

– Trzy! – wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

– Chybił, chybił! Ot, gdzie dziura! – wołał Kmicic, ukazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

– Do dwóch razy sztuka!

– Nie!... Dawaj mnie! – wołał Kulwiec.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

– Precz! Precz! – krzyknął Kmicic. – Raz! Dwa! Trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

– A dajcie i nam pistolety! – zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pachołków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół,

wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram portretów; w zamieszaniu postrzelano i Billewiczów, a Ranicki, wpadłszy w furję, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylekła czeladź stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonymi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobna. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegly pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcąc nosy, spoglądały, co się dzieje we środku.

Dojrzał je na koniec pan Zend; świstnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło, i krzyknął:

– Mości panowie! Sikorki pod oknami! Sikorki!

– Sikorki! Sikorki!

– Dalej w płasy! – wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta, krzycząc wniebogłosy, rozbiegły się po całym podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się płasy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wokół stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Tak to bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

Rozdział III

Przez następne dni kilka codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i co dzień wracał więcej rozkochany, i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

– Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny⁸⁹ w lasach zażyć i tę trzecią majątność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którego by jej w czymkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sani wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęło je trzy kałmuki zdobyczne w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskim, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przejęli. Powoził pacholek siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę⁹⁰, spinaną na złote pętlice a podbitą sobolami i w soboli kołpaczek z czaplim wichrem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok

⁸⁹ *sanna* – jazda saniami po drodze usłanej śniegiem. [przypis redakcyjny]

⁹⁰ *bekiesza* – długi, męski płaszcz podbity futrem. [przypis redakcyjny]

pana Kokosińskiego:

– Słuchaj, Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze diabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi? – Na mnie. Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputację.

– Powieśże się na twojej reputacji, bo na nic innego niezdatna, tak jak i nasze.

– A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskim mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli jako noże na osełce.

– A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usiekł, którego się pytał, czy w Orszańskim już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich, ojca i syna, poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpędził?

– Sejmik rozpędziłem w Orszańskim, nie gdzie indziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi, umierając, a co do reszty to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

– Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycjach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

– Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, że wam wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tym. Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczym słowa Oleńce, ani

o pojedynkach, ani zwłaszcza o owym strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wydało, na was winę złożę. Czeladzi już wspomniałem i dziewczkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć⁹¹.

– Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskim. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!” Dałeś się już we wszystkim usidlić.

– Głupiś, Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona wraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazję kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby kto w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzód sam tego nie rozumiał... Tfu! Wstyd! Warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

– Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki jako krew z mlekiem i podobno zgoła nieoporne.

– Kto ci to powiadał? – spytał żywo Kmicic.

⁹¹ *pasy drzeć* – obdzierać żywcem ze skóry. [przypis redakcyjny]

– Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend! Wczoraj dzianeta dereszowatego⁹² próbując, pojechał do Wołmontowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z niesporów wracały. „Myślałem – powiada – że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie.” A co na którą spojrzął, to mu zaraz wszystkie zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopcy między szlachtą to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

– Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy – co?

– A twoja reputacja?

– O, do diabła! Stulże gębę! Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obeszłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

– Mówiłeś o tym, alem nie chciał wierzyć. Skąd mu taka konfidencja z szarakami?

– Bo na wojnę z nimi chadzał i to słyszałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

– Musisz się im akomodować i do wiechciów w butach kłaniać.

– Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno!

⁹² *dereszowaty* – koń maści karej, gniadej lub kasztanowatej z domieszką białych włosów. [przypis redakcyjny]

Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

– Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiada Zend, że tu jest jakiś pułkownik między nimi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski czy kto? On pod Szklówem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczესano!

– Słyszałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

– Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo wszędy okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjacieli pali, to się i budować mogą.

– Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć – rzekł jakby do siebie samego Kmicic.

Po czym zwrócił się do towarzysza:

– Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czymkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potnę.

– No! Ależ cię osiodłali!

– Osiodłali, nie osiodłali – tobie zasię⁹³!

– Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię – rzekł flegmatycznie Kokosiński.

– Pal z bata! – krzyknął na woźnicę Kmicic.

⁹³ *tobie zasię* – tobie nic do tego, nie twoja sprawa. [przypis redakcyjny]

Pacholek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, rażno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli naprzód do sieni ogromnej jak spichrz, niebielonej, a stąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z której wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho jak w kościele.

– Tyś chłop mowny – szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego – ty powitasz od nas wszystkich.

– Układałem sobie przez drogę – odrzekł pan Kokosiński – ale nie wiem, czyli będzie dość gładko, bo mi Jędrus do konceptu przeszkadzał.

– Byle z fantazją! Co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad nimi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej. I patrzyła śmiało, oczu nie spuszcżając, jako pani w swoim domu gości przyjmująca,

z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki⁹⁴ obramowanej gronostajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci zabijakowie przywykli do innego pokroju niewiast, toteż stali szeregiem jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

– Otom ci przywiózł, mój klejnocie, komilitonów⁹⁵ moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

– Honor to dla mnie niemały – odrzekła Billewiczówna – przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wybornych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy uchwyciła się koniuszkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.

– Hajda! Wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

– Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

– Łowczanko – poprawił Kmicic.

⁹⁴ *jubka* – damski kaftan z rękawami do łokcia, noszony w XVII–XVIII w. [przypis redakcyjny]

⁹⁵ *komiliton* – towarzysz broni. [przypis redakcyjny]

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziejko! – powtórzył zmieszany pan Jaromir. – Wybacz waćpanna, jeżeli mi się w godności pomylił...

– Niewinna to omyłka – odrzekła panna Aleksandra – i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i komilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

– A zleźże już raz z tych obłoków! – zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił się i rzekł:

– Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszkami palców za suknię.

– Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie – rzekła – ale to wiem, że niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny.

Starali się pokazać jako ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli ciągnąć się za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

– Przyjechaliśmy tu niby kuligiem w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna, a i pogodę Bóg zdarzył mroźną.

– Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrządziła. A teraz maluczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco ciepłej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

– A co, mili barankowie? Nie księżna?... A co, Kokoszko? To mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

– Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, żem się do takiej osoby mówić nie spodziewał.

– Nieboszczyk podkomorzy – rzekł Kmicic – więcej z nią w Kiejdanach⁹⁶ na dworze księcia wojewody albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał niż w domu i tam to tych górnych manier nabrała. A uroda – co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

– Pokazaliśmy się jak kpy! – rzekł ze złością Ranicki. – Ale największy kiep Kokosiński!

– O zdrajco! Mnieś to łokciem pchał – trzeba ci było samemu

⁹⁶ *Kiejdany* (lit. *Kėdainiai*) – miasto w środkowo-zach. części Litwy, położone nad rzeką Niewiażą, ok. 40 km na płn. od Kowna. [przypis redakcyjny]

ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

– Zgodą, barankowie, zgodą! – rzekł Kmicic. – Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

– Ja bym za nią w ogień skoczył! – zawołał Rekuć. – Zetnij, Jędrusiu, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem, kontent⁹⁷ był, węża pokręcał i triumfalnie na towarzyszków poglądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra ubrana już w kuni kołpaczek⁹⁸, pod którym jasna jej twarz wydawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

– To tymi saniami pojedziem? – pytała panienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia. – Jeszczem też słusznieszych sani w życiu nie widziała.

– Nie wiem, kto tam nimi przedtem jeździł, bo zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bardzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, którzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona Kmity Czarnobylskiego, a ten zaś znów nie był z tego domu, z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

– A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdobył?

– A teraz, w tej już wojnie. My biedni *exules*, którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna łupem da. A żem tej pani wiernie służył, więc i nagrodziła.

⁹⁷ *kontent* – zadowolony. [przypis redakcyjny]

⁹⁸ *kołpaczek* – wysoka, stożkowa czapka futrzana, od XV do XIX w. noszona w Polsce. [przypis redakcyjny]

– Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagrodzi, a całej ojczyźnie miłej łązy wyciska.

– Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od sani, pięknym, z białego sukna i białymi wilkami podszytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „Ruszaj!” – i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słyhać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

– Dobrze waćpannie?

– Dobrze – odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wicher. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat podobnych do kup śnieżnych strzelały wysokimi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych z krakaniem donośnym.

O dwie staje⁹⁹ za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się

⁹⁹ *staje* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis redakcyjny]

zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczowała słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn¹⁰⁰ orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... Czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... Oczy się jej nie chcą odemknąć jakoby w śnie. I lecą – lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

– Miłujeszzę mnie?

Otworzyła oczy:

– Jako duszę własną!

– A ja na śmierć i żywot!

Znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej: pocałunki czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całymi pułkami. Śnieg szumiał, konie paraskały, a oni byli szczęśliwi.

– Chciałbym do końca świata tak jechać! – zawołał Kmicic.

– Co my czynimy? To grzech! – szepnęła Oleńka.

– Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

– Już nie można. Mitruny już niedaleko.

– Daleko czy blisko – wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce do góry

¹⁰⁰ bojarzyn a. bojar – rycerz, szlachcic litewski lub ruski. [przypis redakcyjny]

i począł krzyczeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

– Hej – ha! Hej – ha!

– Hej, a hop! Hop! Ha! – odezwali się towarzysze z tylnych sani.

– Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? – pytała panna.

– A ot tak! Z radości! A zakrzyknij no i waćpanna!

– Hej – ha! – rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

– Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

– Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:

Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,

Na bujne pola!

„Matus! Rycerze idą od boru,

Oj, mojaż dola!”

„Córuś, nie patrzaj – rączkami oczy

Zatknij białymi,

Bo ci serduszko z piersi wyskoczy

Na wojnę z nimi!”

– Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? – pytała panna Aleksandra.

– Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali. Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani:

– Stój! Stój! Hej tam – stój!

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, skąd towarzyszom przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy wtem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca zbliżającego się, co koń wyskoczy.

– Na Boga! To mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! – rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz, zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszany głosem:

– Panie rotmistrzu!...

– Co tam, Soroka?

– Upita¹⁰¹ się pali; biją się!

– Jezus Maria! – zakrzyknęła Oleńka.

– Nie bój się waćpanna... Kto się bije?

– Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się siekli i po prezydium do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

– O co poszło? – pytał Kmicic.

– Mieszczanie nie chcieli obroków dawać ani koniom, ani ludziom, że to asygnacji¹⁰² nie było; żołnierze poczęli

¹⁰¹ *Upita* (lit. *Upytė*) – w XVII w. miasteczko, dziś wieś, położona ok. 12 km na płd. zachód od Poniewieży. [przypis redakcyjny]

¹⁰² *asygnacja* (z łac.) – dokument, pisemne zlecenie wydania pieniędzy lub innych świadczeń. [przypis redakcyjny]

gwałtem brać. Obiegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

– To i nam trzeba na ratunek! – zakrzyknął Kokosiński.

– Wojsko łyczkowie¹⁰³ oprymują¹⁰⁴! – wołał Ranicki, któremu płamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. – Szach, szach, mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczyk, aż się konie zstraszyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i pisał:

– Bij! Kto w Boga wierzy! Z dymem łyków!

– Milczeć! – huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się jak pijany. – Nic tam po was! Nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedno zostawić i jechać do Lubicza! Tam czekać, chyba bym przysłał po sukurs¹⁰⁵.

– Jak to? – zaoponował Ranicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

– Ni pary z gęby! – rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

– Wracaj, Oleńko, do Wodoktów – rzekł Kmicic – albo jedź

¹⁰³ *łyczek* (daw., pogard.) – mieszczanin. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁴ *oprymować* (z łac.) – daw. gnębić, uciskać. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁵ *sukurs* (z łac.) – pomoc, ratunek. [przypis redakcyjny]

po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! I kulig się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy, ucałował jej ręce i otulił w wilczurę¹⁰⁶; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

– Do Upity!

¹⁰⁶ *wilczura* – daw. futro z wilczych skór. [przypis redakcyjny]

Rozdział IV

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patriarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek; z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kasjan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batorego pamiętający, z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w okolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpiał, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć od razu domyśliła się, że na zwiady przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

– Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno

jeszcze z Upity¹⁰⁷ nie wrócił – mówił Pakosz – tak do ciebie przyjechali pytać kochanieńka, kiedy można?

– Myślę, że tylko co go nie widać – odrzekła panna. – Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia, i teraz ode mnie.

– Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! – mruknął ponuro Józwa.

Panna dosłyszała i odparła zaraz żywo:

– Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i nie dość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na kogo fuknie, bo to u nich humory jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

– My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go z nagłą zobaczy, czemu by człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem po staremu do Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził jako nieboszczyk pan podkomorzy.

– Tak już powiedz, kochanieńka: udał ci się czy nie udał? – pytał Kasjan Butrym. – Taż to nasza powinność pytać!...

– Bóg wam zapłać za troskliwość. Zacny to kawaler pan

¹⁰⁷ *Upita* (lit. *Upytė*) – w XVII w. miasteczko, dziś wieś, położona ok. 12 km na płd. zachód od Poniewieży. [przypis redakcyjny]

Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby mi się o tym mówić.

– Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilejsza?

– Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże nieufność okazać! Bogu lepiej dziękujemy!

– Co tu zawczasu dziękować?! Jak będzie za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować – odpowiedział posepny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin bardzo był ostrożny i przewidujący.

– A o ślubie wy mówili? – pytał znów Kasjan.

Oleńka spuściła oczy.

– Pan Kmicic chce jak najprędzej...

– Ot, co! Jeszcze by nie kciał... – mruknął Józwa. – Chybaby głupi! A któryż to niedźwiedź nie kce miodu z barci? Ale po co się spieszyć? Czy to nie lepiej zobaczyć, co zacz człowiek jest? Ojcie Kasjanie, też już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

– Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, co by rzec – odpowiedział staruszek. – Pan Jezus powiedział tak: Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi zła nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

– Byle był po naszej myśli! – dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sobole brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

– Pamiętajcie, asanowie, że nie sługę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece

musi waćpanów zastąpić.

– To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? – pytał Józwa.

– To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecie on tu własnego dobra strzeże, którym każdy wedle upodobania rządzi. Zali nie prawda, ojczu Pakoszu?

– Święta prawda! – odrzekł pacunelski staruszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

– Nie drzemcie, ojczu Kasjanie!

– Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

– To mówcie, co widzicie.

– Co widzę? Ot, co widzę... Familiant to jest pan Kmicic z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przy tym sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej. Ale kompanię ma nicpotem¹⁰⁸!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? – że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie¹⁰⁹ są i kondemnaty, i protesta, i inkwizycje. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! Ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajechali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawno by im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcja pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania,

¹⁰⁸ *nicpotem* (daw.) – do niczego. [przypis redakcyjny]

¹⁰⁹ *infamia* (daw.) – sądowe pozbawienie czci i praw obywatelskich. [przypis redakcyjny]

i przy nim się wieszają jak latem baki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. Toż pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili – i do kogo? – do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

– Nie może być! Nie może być!

– Może, bo było! Dobrodziej pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewczki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!... Tfu! Obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!...

Tu stary Kasjan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki były ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

– A to wojsko pana Kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficyjerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydło zrabowali jacyś ludzie, mówią, że pana Kmicica; chłopów mejszagolskich¹¹⁰, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i strażuj – a czemu? Bo pan Kmicic z kompanią przyjechał!

– Ojcie Józwa! Nie mówcie tak! Nie mówcie! – zawołała

¹¹⁰ *Mejszagoła* – miasteczko na Litwie. [przypis redakcyjny]

Oleńka.

– A jak mam mówić? Jeśli pan Kmicic nie winien, to po co takich ludzi trzyma, po co z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tym gada!

– Co ja mam czynić? – pytała Oleńka. – Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?

– Jeśli nie wypędzi – mruknął z cicha Józwa – to sam taki!

Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom¹¹¹.

– Zresztą, niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda, co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulękę...

– My ci pomogę! – rzekł Józwa.

– Dla Boga! – mówiła Oleńka unosząc się coraz bardziej – niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu, w Lubiczu... Niech będą, jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! Hańba! ... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to, widzę, zdrajcy niegodni, którzy i siebie, i jego plamią. Tak jest! Źle im z oczu patrzyło, ale ja, głupia, nie poznałam się na tym. Dobrze! Dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów

¹¹¹ *kostera* – hazardzista, oszust karciany. [przypis redakcyjny]

otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

– To! To! To! – rzekł stary Kasjan. – Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

– Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbą na jego imię ściągają! Tak jest! Pókim żywa, nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą, i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi. Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przede wszystkim winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak groźną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

– Tak jest! Oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

– My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze – mówił stary Kasjan. – My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadem przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz za młodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

– A pies? – mówił wzruszonym głosem pacunelski łagodny staruszek. – Pójdiesz z młodym w pole, a on, durny, zamiast za

zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

– Nie płacz! – rzekł Józwa Butrym.

– Nie płacz, nie płacz!... – powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich, i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłumaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciskały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaury i innych – i dostrzegła w nich, czego pierwiej nie widziała; że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

– Wstyd! Sromota! – szeptała do się dziewczyna zbladłymi usty. – Co wieczora wracał ode mnie do dziewczek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemień tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pospiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów – natychmiast! Ale co

jej pozostaje!... Nic! Jenó łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

– Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tym.

Rozmyślania panienki przerwał pacholek, któren wniósł naręcz jałowcowych drewek do kominka i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle spod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

– Kostek! – rzekła – siedzisz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go nie masz, to niech włodarz, stary Znikis, siada z tobą i wraz do mnie przybywa – a żywo!

Chłopak rzucił szczypek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.

„Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! – pomyślała sobie. – A może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili... Obaczmy!”

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem billewiczowskim ze służbą, przadek pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

– Znikis jest w sieni! – rzekł. – Pana nie masz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włodarz w sieni schylił się jej do nóg.

– A jak tobie zdrowie, jasna dziedziczko?... Bóg daj najlepsze!

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

– Co u was słychać? – pytała panienka.

Chłop kiwnął ręką.

– At! Pana nie ma...

– To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu co się dzieje?

– At!...

– Słuchaj, Znikis, mów śmieje, włos ci z głowy nie spadnie.

Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

– Żeby to, jasna panienka, swawolniki!

– Mów szczerze.

– Kiedy, panienka, mnie nie wolno... ja się boja... Mnie zakazali.

– Kto zakazał?

– Pan...

– Tak?! – rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła spiesznie po pokoju, ze ściśniętymi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

– Czyj ty jesteś?

– A billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

– Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop, jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

– Panienka jasna, ja tam nie kcę wracać, tam sądny dzień!
... To, panienka, zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny
niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu jakby strzałą
ugodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie:

– Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

– Jak nie strzelali! I dziewczki ciągalі po komnatach, i co
dzień ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i
Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku...
Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

– I stajennego rozszczepili?...

– A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już
im dworskich nie dość i po wsi łowią...

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły
na twarz panny i nie znikwały już więcej.

– Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

– Oni, panienka, nie wiedzą, jeno słyszałem, jak mówili
między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć.
Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o
czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

– Mają tu wstąpić?... To dobrze. Idź teraz, Znikis, do kuchni.
Już nie wrócisz do Lubicza.

– Ażeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak
jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów

wyjechały do kościoła, przybyli panowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony, ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną, i nie poznali się na niczym.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już jak za pierwszym razem i rzekł:

– Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodzik! My tu po drodze do Upity wступujemy, aby waćpannie dobrodżice do stópek upaść i o *auxilia*¹¹² prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieść¹¹³ kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyczkom¹¹⁴ trochę krwi upuścimy.

– Dziwi mnie – odrzekła Billewiczówna – że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał po ptasiemu

¹¹² *auxilia* (łac.) – wsparcie. [przypis redakcyjny]

¹¹³ *sieść* (daw.) – sięść. [przypis redakcyjny]

¹¹⁴ *łyczek* (daw., pogard.) – mieszczanin. [przypis redakcyjny]

zagwizdać, Kokosiński począł się głąskać szeroką dłonią po głowie.

– Jako żywo! – rzekł – myślałby kto, że waćpanna do ciurów¹¹⁵ pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia nie ma, przyszedliśmy do takowej konwikcji¹¹⁶, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

– Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, co by się łatwo i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzej by się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

– Trudno nam z waćpanną deliberować¹¹⁷. Prosim tylko o prochy i ludzi.

– Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

– Czy ja dobrze słyszę? – rzekł Kokosiński. – Jak to waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi, na ratunek będziesz waćpanna żałować? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

– Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice i podniósłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabijakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

– Zdrajcy! – rzekła – wy to go jak złe duchy do grzechu

¹¹⁵ *ciura* – daw. człowiek należący do czeladzi obozowej, wojsk. pachołek. [przypis redakcyjny]

¹¹⁶ *konwikcja* (daw., z łac.) – przekonanie. [przypis redakcyjny]

¹¹⁷ *deliberować* (z łac.) – tu: dyskutować. [przypis redakcyjny]

kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszą rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? – na niego – przez was, banitów i infamisów!

– Hej! Na rany boskie, towarzysze! Słyszycie? – zakrzyknął Kokosiński. – Hej! Co to jest? Zali nie śpimy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

– Precz stąd! – rzekła.

Wachołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jenó zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojęściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną. Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonym okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Na koniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

– Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej¹¹⁸ gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekłszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

¹¹⁸ *polityczny* (z łac.) – uprzejmy, grzeczny. [przypis redakcyjny]

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:

– Cóż, mili barankowie?

– A cóż?

– Dobrze wam?

– A tobie dobrze?

– Ej, żeby nie Kmicic! Ej, żeby nie Kmicic! – rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce – pohulalibyśmy tu z panienką po naszymu!...

– Idź, zadrzyj z Kmicicem! – zapiszczał Rekuć. – Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już pokryta piętnami.

– I jemu stanę, i tobie, warchole, gdzie chcesz!

– A to i dobrze! – rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwiece-Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

– Na tę pięść! – rzekł, potrząsając jakoby bochnem chleba – na tę pięść! – powtórzył. – Pierwszemu, który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na drugiego, jakby pytając niemo, który pierwszy zechce popróbować; ale oni tak zagadnięci uspokoili się zaraz.

– Kulwiece ma rację! – rzekł Kokosiński. – Moi mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż kiedykolwiek... Ja bym radził ruszać co prędzej do Kmicica,

żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisałaby nas jak diabłów. Dobrze, że tam żaden na nią nie warknął, choć mnie samemu świerzbiałły ręce i język... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas podbechtać¹¹⁹, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj Bóg, aby nas opuścił. Zaraz by tu obławę na nas jak na wilków uczyniono.

– Furda! – rzekł Ranicki. – Nic nam nie uczynią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partię, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają! Daj rękę, Rekuć, odpuszczam ci!

– Byłbym ci uszy obciął – zapiszczał Rekuć – ale już pogódźmy się! Wspólna nas konfuzja spotkała.

– Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! – rzekł Kokosiński.

– I mnie, w którym senatorska krew płynie! – dodał Ranicki.

– Ludziom godnym! Familiantom!

– Żołnierzom zasłużonym!

– I *exulom*!

– Sierotom niewinnym!

– Mam buty wyporkiem¹²⁰ podszyte, ale już mi nogi marzną – rzekł Kulwiec. – Co będziemy jak dziady pod tym domem stali, nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i

¹¹⁹ *podbechtać* – nastawić kogoś przeciwko komuś lub czemuś, podrażnić czyjaś dumę, ambicję. [przypis redakcyjny]

¹²⁰ *wyporek* – skóra z niedonoszonego płodu zwierzęcego (np. jagnięcia). [przypis redakcyjny]

jedźmy. Czeladź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

– Do Upity!

– Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

– Bylebyśmy go nie minęli.

– Na koń, towarzysze! Na koń!

Siedli i ruszyli stępą, gniew i wstyd przeżuważając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

– Ej, krwi mi! Ej, krwi!

– Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili! – rzekł Kokosiński – przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką¹²¹.

– Może to być.

– Boże nam pomóż! – dodał Uhlik.

– Pogańska córka, cieciora¹²² zacieka!...

Tak kląć i sierzając się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

– Stul gębę! – krzyknął na Zenda Ranicki. – Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wrońska jakby nad

¹²¹ *hubka* – wysuszony miąższ huby lub inny materiał łatwo się tłący, używany do rozniecania ognia. [przypis redakcyjny]

¹²² *cieciora* – samica cietrzewia. [przypis redakcyjny]

padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali jak wśród burzy. Głupi! Nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dość jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jako zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała ciekawie na nieznanych jeźdźców, w pół się domyślając, co to za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuszcie w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicic przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezjach¹²³, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: nony rześiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od czasu do czasu: „Z drogi!” Jaki taki z Butrymów spojrzał posepnie spode łba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

– Uważcie, mości panowie – mówił Kokosiński – jakie tu chłopcy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.
– Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliska, można by ich wziąć

¹²³ *ferezja* – męskie okrycie wierzchnie w XVI–XVII w. [przypis redakcyjny]

za chamów – rzekł Uhlik.

– Obaczcie no te szablice! Czyste powyrki, jak mi Bóg miły!
– zauważył Ranicki. – Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

– On by tak, ja bym tak! On by tak, ja bym tak – i szach!

– Łatwo sobie możesz owo *gaudium*¹²⁴ uczynić – zauważył Rekuć. – Z nimi nie trzeba wiele.

– Wolałbym się ja z tymi oto dziewczętami popróbować! – rzekł nagle Zend.

– Świece, nie panny! – wykrzyknął z zapalem Rekuć.

– Co waść mówisz: – świece? – sosny! A pyski u każdej jakoby krokoszem¹²⁵ malowane.

– Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysią. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. Toteż przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani wysłanych grochowinami i tyleż koni posiodłanych.

– Napijmy się gorzałki, bo zimno! – rzekł Kokosiński.

– Nie zawadzi! – odparł chór jednogłośnie.

¹²⁴ *gaudium* (łac.) – radość. [przypis redakcyjny]

¹²⁵ *krokosz* – roślina o pomarańczowoczerwonych kwiatach, uprawiana jako roślina oleista i barwierska. [przypis redakcyjny]

Zsiedli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkownej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta, siedząc na ławach lub stojąc gromadkami przed szynkwasm, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopcy duże, ponure i tak małowówne, że w izbie prawie nie słyhać było gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału¹²⁶ albo rosieńskiego pakłaku¹²⁷, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześćdziesięciu lub wyrostkowie, do dwudziestu. Ci dla omłotów¹²⁸ zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrzawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się trochę od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny moderunek¹²⁹ żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił. „To z Lubicza?” – „Tak, pana Kmicicowa kompania!” – „To ci?” – „A jakże!”

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwiertzył go pierwszy Kokosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na

¹²⁶ *samodział* – tkanina z wełny lub lnu tkana na ręcznym warsztacie. [przypis redakcyjny]

¹²⁷ *pakłak* – gruby lniany lub bawełniany materiał, z jakiego szyto worki na mąkę lub zboże. [przypis redakcyjny]

¹²⁸ *omłot* – oddzielanie ziarna od słomy, młócenie. [przypis redakcyjny]

¹²⁹ *moderunek* – ekwipunek żołnierski. [przypis redakcyjny]

izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasuł, a długi, niski otwór gruby¹³⁰, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawalerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory strapione po przyjęciu w Wodoktach i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżać, rozweselona, zwłaszcza młodszy, potężni wyrostkowie o szerokich barach i pucołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał – nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zajęcia; zajęcie beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasnął rozpaczliwie i zamilkł na wieki – a na jego miejscu rogacz odezwał się potężnie jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekucia:

- Sikorki siedzą wedle grubego!
- A prawda! – rzekł Kokosiński, przysyłając oczy ręką.
- Jako żywo! – przywodził Uhlik— jeno w izbie tak ciemno,

¹³⁰ *gruba* (z niem. *Grube*: dołek, jama) – palenisko. [przypis redakcyjny]

żem nie mógł rozeznąć.

– Ciekaw jestem, co one tu robią?

– Może na tańce przychodzą.

– A poczekajcie, spytam! – rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos, pytał:

– Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

– Nogi grzejem! – ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy nim na długiej ławie z dziesięć niewiast starszych i młodszych, trzymających bosc nogi na kłocu leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kłoca suszyły się przemokłe od śniegu buty.

– To waćpanny nogi grzejecie? – pytał Kokosiński.

– Bo zmarzły.

– Bardzo grzeczne nóżki! – zapiszczał Rekuć, pochylając się ku kłocowi.

– At! Odczep się waszmość! – rzekła jedna z szlachcianek.

– Rad bym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, którego sposób jest następujący: jeno potaćcować z ochotą, a zamróż pójdzie precz!

– Kiedy potaćcować, to potaćcować! – rzekł pan Uhlik. – Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli¹³¹, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w

¹³¹ *basetla* – ludowy instrument strunowy lub daw. wiolonczela. [przypis redakcyjny]

podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się z kolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty¹³² nikt by bardzo nie protestował, ale reputacja „kompanii” była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaury, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

– Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?

Kulwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wąsami ruszać gwałtownie.

– Wolę z dziewczyną – odrzekł – a z waścią to chyba potem...

Wtem podbiegł Ranicki z twarzą już pocętkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

– Coś za jeden, zawalidrogo? – pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

– Hej, towarzysze! Do kupy! Do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się tedy także skupiać, pomrukując jak niedźwiedzie.

– Czego chcecie? Guzów szukacie? – pytał Kokosiński.

– At! Co gadać! Poszli precz! – rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę rękojeścią w piersi, aż się rozległo

¹³² *zapusty* – daw. ostatnie dni karnawału. [przypis redakcyjny]

w całej izbie i krzyknął:

– Bij!

Rapiery¹³³ zabłyśły, rozległ się wrzask niewiast, szczęk szabel i zgiełk, i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

– Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przesłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...

¹³³ *rapier* – broń o długiej, prostej, obosiecznej klindze, dłuższa niż szabla, używana w XVI i XVII w. [przypis redakcyjny]

Rozdział V

Tegoż samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów na czele stu kilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity¹³⁴ przyprowadził, żeby ich do Kiejdan¹³⁵ hetmanowi wielkiemu odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małym miasteczku nie masz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, którego tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy¹³⁶ pana Kmicica, żeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana wielkiego nieprzyjaciół zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu¹³⁷ cofnęły się na pewien czas do Birż¹³⁸ i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mścisławska

¹³⁴ *Upita* (lit. *Upytė*) – w XVII w. miasteczko, dziś wieś, położona ok. 12 km na płd. zachód od Poniewieży. [przypis redakcyjny]

¹³⁵ *Kiejdany* (lit. *Kėdainiai*) – miasto w środkowo-zach. części Litwy, położone nad rzeką Niewiażą, ok. 40 km na płn. od Kowna. [przypis redakcyjny]

¹³⁶ *wolentarz* (daw., z łac.) – ochotnik. [przypis redakcyjny]

¹³⁷ *komput* – liczba stałego wojska w I Rzeczypospolitej XVII i XVIII w., ustalana na sejmie wielkim osobno dla Korony i dla Litwy. [przypis redakcyjny]

¹³⁸ *Birże* (lit. *Biržai*) – miasto w płn. części Litwy, rezydencja Radziwiłłów. [przypis redakcyjny]

i mińska albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze nie zajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! Mało było takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał prócz pana Kmicica, którego czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazją rycerską niż patriotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty – brał ludzi, jakich mógł znaleźć, więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawałidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachotków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przy tym łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą skąd miał brać prowiant i broń, i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjaciela, często i na swoich. Oporu nie znosił i za

najmniejszy karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczaiał się do krwi przelewu tak, że nie lada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zastęnęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywatelstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwiec, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący, Ranicki – tam zawsze można było pytać: obrońcyli to czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łyzy i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciążyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takie to było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrzawszy ich przez okno, tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny: jedni w hełmach pobranych na nieprzyjacielu, drudzy

w czapkach kozackich, w kapuzach¹³⁹, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezjach¹⁴⁰, inni w kozuchach, z rusznicami, spisami¹⁴¹, łukami i berdyszami¹⁴², na chudych, poszerzeniałych koniach ubranych w rzędziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przy tym może i chytrość niewieścia grała w tym pewną rolę, bo trzeba było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna naprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

„Miłuje mnie! Nie masz wątpliwości!” – pomyślała.

A on mówił:

– Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić, byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie tych łyków!

– Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło.

¹³⁹ *kapuza* – daw. nakrycie głowy w postaci kaptura a. futrzanej czapki uszanki. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁰ *ferezja* – męskie okrycie wierzchnie w XVI–XVII w. [przypis redakcyjny]

¹⁴¹ *spisa* – długa broń drzewcowa o małym grocie, używana przez Kozaków od XVI do XIX w. [przypis redakcyjny]

¹⁴² *berdysz* – szeroki topór na długim drzewcu. [przypis redakcyjny]

Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

– I! Co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków¹⁴³ tarmosić...

– Aleś to waćpan uspokoił?

– Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiedę trochę, bom się strudził. Ej! Ciepłoż tu, ej! Miło w tych Wodoktach jako właśnie w raj. Rad by tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył, i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego także by nie zawadziło, bo na dworze mróz okrutny.

– Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

– A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydłęcego nieco rozgrzeli. Tołuby¹⁴⁴ mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

– Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi w oczach pojaśniało, i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to węża młodego pokręcał, namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

– Trzeba szczerą prawdę wyznać – mruczał pod nosem – nie ma rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

¹⁴³ *łyczek* (daw., pogard.) – mieszczanin. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁴ *tołub* – rodzaj futra. [przypis redakcyjny]

I znów chodził, i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwiał się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gospoia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgryna, i pucharek rżnięty ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrawszy gospoie, poskoczył ku niej.

– Hej! – zawołał – rączyny obiedwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swą jasną główkę bronioną tylko przez opar wychodzący z garnuszka.

– Zdrajca! Dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, po czym zakrzyknął:

– Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

– Waćpanu dawno już się pomieszał... Siadaj, siadaj!

Usiadł posłusznie, ona zaś nalała mu polewki w pucharek.

– Mówże teraz, jakeś to w Upicie winnych sądził?

– W Upicie? Jako Salomon!

– To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

– Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacje na prowianty od hetmana wielkiego albo od pana podskarbiego. „Wacpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i eksakcji¹⁴⁵ nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą.”

– Mieli słusność czy nie mieli?

– Słusność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a po staremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą rację. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacje!” I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili...

– Jak to uspokoili?

– Kto weźmie szablą po łbie, to i spokojny jak trusia.

– Dla Boga! Toż to zabójstwo!

– Właściem na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniem i skargami na opresję, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladują. „Brzuchy mamy puste – mówili – co nam czynić?” Kazałem burmistrzowi, by się stawiał. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedy to nie zaczęła płakać: „Niechby już i asygnacji nie dawali – prawią – ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specjałów, a my sami,

¹⁴⁵ *eksakcja* (z łac.) – pobór, ściąganie podatków. [przypis redakcyjny]

ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzów odpowiesz.”

– Bóg waćpana będzie błogosławił – zawołała Oleńka – jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi, uczynił!

– Jeślim uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać, i czuprynę poczał ręką na czoło nagarniać.

– Mój królu! – zawołał wreszcie żalonym głosem – mój klejnocie!... Nie gniewaj się na mnie...

– Cóżes znów waćpan uczynił? – pytała niespokojnie Oleńka.

– Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! – wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pograżyła się w milczeniu.

– Zetnij szyję! – wołał Kmicic – ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

– Jeszcze? – jęknęła panna.

– Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pachotków z oficyjerami. Tych przepłoszyłem, a oficyjerów... Na Boga, nie gniewaj się!... Kazałem gołych pognać kańczugami¹⁴⁶ po śniegu, tak jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskim uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

¹⁴⁶ *kańczug* – bicz z plecionego rzemienia osadzonego na krótkim kijku. [przypis redakcyjny]

– Waćpan nie masz wstydu i sumienia! – rzekła.

Kmicic spojrział zdziwiony, zamilkł na chwilę, po czym spytał zmienionym głosem:

– Prawdę-li mówisz czy udajesz?

– Prawdę mówię, że hajdamaki¹⁴⁷ godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacja waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwie przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

– Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

– Ale nie masz infamii na tych chudopachołkach, nie masz hańby na niczym imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą prócz waćpana!

– Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i lada jaką partię zebrać potrafi. Co mi uczynią? Kogo ja się tu boję?

– Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tym, że ja się boję gniewu bożego... i łez ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

– Na Boga! Nie groźże mi rekuza¹⁴⁸, bo mnie jeszcze nie znasz...

¹⁴⁷ *hajdamaka* (z tur.) – buntownik, rozbójnik, uczestnik któregoś z powstań chłopskich na Ukrainie w latach 1730–1770. [przypis redakcyjny]

¹⁴⁸ *rekuza* – odrzucenie przez kobietę propozycji małżeństwa. [przypis redakcyjny]

– O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!

Oczy Kmicica poczęły skry sypać, ale i w niej się rozigrała krew billewiczowska.

– Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! – mówiła śmiało dalej. – Jać się nie ulęknę, chociażem sama, a waćć masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżeście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie?... Waćć to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę pocziwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko pocziwego żoną była...

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem:

– Kto ci o owym strzelaniu mówił?

– Wszystka szlachta z okolicy o tym mówi.

– Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! – odparł posępnie Kmicic. – Ale to stało się po pijanemu... w kompanii... jako że żołnierze pohamować się w ochocie nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał.

– Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbójce do wszystkiego waćpana podmawiają...

– To nie zbójce, to moi oficyerowie...

– Jam tym waćpana oficyerom kazała pójść precz z mego domu!

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największym zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu

kompanionów żadnego na Kmicicu nie uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

– Kazałaś im pójść precz? – spytał.

– Tak jest.

– A oni poszli?

– Tak jest.

– Dalibóg, kawalerska w tobie fantazja! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zdrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores¹⁴⁹ przed Kmicicem!... Widzisz! Wynieśli się pokornie jak barankowie – widzisz! A czemu? Bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrzał chętnie na Oleńkę i węża począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chętność, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

– Waćpan musisz wybrać między mną i nimi, nie może inaczej być!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła, i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

– A po co mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam, i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, coć się podoba; ale jeżeli moi kompaniowie żadnej tu krzywdy ani swawoli się nie dopuścili, to za cóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie łączy jak wspólna służba. Wiedz o tym, że oni mało tysięcy ratowali

¹⁴⁹ *mores* – karność, subordynacja. [przypis redakcyjny]

mi życie, ja im takież; a że teraz są bez dachu, że ich prawo ściga, to tym bardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to przecie wszystko i familianci za wyjątkiem Zenda, którego jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kawalkatora nie masz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptactwo wszelakie udaje, sama byś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. Wszystko to, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim jak tępą grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić?

– Niech się dzieje wola boża! – rzekła wreszcie. – Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

– Ja się ciebie wyrzekam? – pytał Kmicic z największym zdumieniem.

– Tak jest! Jeśli nie słowy¹⁵⁰, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, banitem¹⁵¹, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

– Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa,

¹⁵⁰ *słowy* – dziś popr. forma N. lm: słowami. [przypis redakcyjny]

¹⁵¹ *banitem* – dziś popr. forma N. lp: banitą. [przypis redakcyjny]

abyś zaś czego nie uczynił, czego byś potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszcza, jeśli ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

– Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjacieli, bo ją depcesz, bo ludzi w niej katujesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! Choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

– Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Ratujcież mnie, anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam król i wszyscy diabli rogami przystępu bronili, choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

– Nie wzywaj złych duchów, bo cię usłyszą! – zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

– Czego ode mnie chcesz?

– Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słyszeć było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancerz pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział, co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

– Bądź zdrowa! – rzekł nagle Kmicic.

– Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! – odrzekła

Oleńka.

– Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

– A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? – odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

– Bądź zdrowa!

– Bądź zdrów...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce:

– Na rany Chrystusa! Czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

– Bijże mnie, kto w Boga wierzy! Bij, nie żałuj!

Na koniec wybuchnął:

– Nie płacz, Oleńka! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien? Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... W Upicie załagodzę... Będę żył inaczej... Bo cię miłuję... Dla Boga! Serce mi się rozpuknie... Uczynię wszystko, jeno nie płacz... I miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspokajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

– Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim pośląpali żołnierze, rozciągawszy się węzem po szerokim gościńcu.

Jechali nie przez Wołmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

– Panie rotmistrzu – spytał – a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

– Ruszaj precz! – odpowiedział Kmicic.

I jechał na przedzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwsza to była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia i rachunek ten ciążył mu gorzej od najcięższego pancerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i coś uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! Rzucił się na prezydium¹⁵² poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces – przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecie nie będzie mógł jak dawniej, zebrawszy partię zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpetnego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie i w sercach ludzkich, i w jego własnym sumieniu, i w sercu Oleńki... Tu, gdy wspomniał, że ona jednak

¹⁵² *prezydium* (z łac.) – zbrojna załoga. [przypis redakcyjny]

nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą jak anieli niebiescy. I ot! Brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz, wrócić co koń wyskoczy i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dziś jego twarz.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! – myślał w duszy – uczynię, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złego podniecają.”

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych albo z dziewczętami, i chwyciła go taka złość, że chciało mu się szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził, i siec ich bez miłosierdzia.

– Dam ja im! – mruczał, targając wąs. – Jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trzęzlę¹⁵³ targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka, widząc to, mruczał do żołnierzy:

– Rotmistrz się zbiesił¹⁵⁴. Nie daj Bóg mu pod rękę wpaść...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokół był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach – jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała

¹⁵³ *trzęzła* (daw.) – uzda. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁴ *biesić się* – daw. wpadać w złość. [przypis redakcyjny]

mu się tak długa jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawym światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

– W konie!...

Pomknął jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach, i na pustych polach lecieli jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, że czasami wśród jasnych nocy miesięcznych zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrót zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od światła, usłyszeć głos Uhlikowego czekanika, skrzypków albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światelko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by podtrzymać strzemień rotmistrzowi.

– Iść spać! – rzekł Kmicic. – Kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór,

stodół i przynieść im siana z odryny¹⁵⁵.

– Słucham! – odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zszedł z konia. Drzwi od sieni były otwarte na rozcież, a sień wyziębiona.

– Hej tam, jest tam kto? – wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

– Hej tam! – powtórzył głośniej.

Milczenie.

– Popili się... – mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łożowy czerwonym, dymiącym światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiało płomieniem tak, iż przez chwilę nie mógł pan Andrzej nic dojrzeć. Dopiero gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci leżących równo pod ścianą.

– Popili się na umor czy co? – mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

– Wstawajcie, tacy synowie! Wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłymi

¹⁵⁵ *odryna* (reg.) – budynek, w którym przechowuje się siano. [przypis redakcyjny]

bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycji i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydłą, bez oczu, nosa i ust – tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłymi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei, Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszków, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi widać mu było dużą ranę, zapewne sztychem¹⁵⁶ zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem¹⁵⁷ podartym na piersiach i posiekaną gęstymi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekuciowi,

¹⁵⁶ *sztych* – ostry koniec broni białej, pchnięcie bronią białą. [przypis redakcyjny]

¹⁵⁷ *żupan* – starop. ubiór noszony przez szlachtę, o kroju długiej sukni zapinanej na guziki, ze stójką i wąskimi rękawami. [przypis redakcyjny]

w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Węc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać z lekka rannym.

– Rekuć, Rekuć! – wołał – to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały na przemian.

– To ja! – rzekł Kmicic.

Oczy Rekuć otwały się na chwilę zupełnie – poznał twarz przyjaciela i jęknął z cicha:

– Jędrus!... księdza!...

– Kto was pobił?! – krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

– Bu-try-my... – ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Po czym Rekuć wyprężył się, zeszytniał, otwarte oczy stanęły mu w słup – i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek – sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzał na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

– Bywaj, kto żyw! Bywaj!

Żołnierze, którzy roztasowywali się w czeladnej, posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na

leżące pod ścianą trupy.

– Pobici! Pobici! – powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczywem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i – przeciw swej naturze – spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciał nie mogły rozbudzić ani surmy¹⁵⁸ do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

– Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

– Bij! Morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowym światłem wychodzącym jakby spod ziemi;

¹⁵⁸ *surma* – instrument dęty z drewna lub kości słoniowej używany w daw. wojsku do sygnalizacji. [przypis redakcyjny]

stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś, od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona łuna oblała całą okolicę. Jedno morze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i skier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i oślepiłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów zbierały się na drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwykajny pożar!”

Huk rusznic dochodzący od czasu do czasu z oddali potwierdzał te przypuszczenia.

– Pójdźmy na pomoc! – wołali śmielsi. – Nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

- Oleńko! Wstawaj! – wołała panna Franciszka Kulwiecówna.
- Niech ciotuchna wejdzie! – Co tam się dzieje?
- Wołmontowicze się palą!
- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego!
- Strzały aż tu słyszać, tam bitwa! Boże, zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, po czym wyskoczyła z łóżka i poczęła spiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało jak we febrze. Ona jedna domyśliła się od razu, co to za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanie za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi:

– Nie otwierać! Nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem między zgromadzone niewiasty wpadł pacholik Kostek.

– Panienska! – wołał – jakiś człek stuka; otwierać czy nie?

– Sam-li jest?

– Sam.

– Idź, otwórz!

Pachołek skoczył, ona zaś, chwyciwszy świecę, przeszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szcęk żelaznej zawory, skrzypienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

– Koń mi pod lasem padł! – krzyknął. – Ścigają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiała weń oczy:

– Waść spaliłeś Wołmontowicze?

– Ja!... Ja!...

Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

– Diabli po mą duszę!... Dobrze! – krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do przadek:

– Jeśli będą pytać, powiedzieć, że nie masz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjść!...

Po czym do Kmicica:

– Waść tam! – rzekła, ukazując na przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewicz, Domaszewicz i inni wpadli do domu. Ujrzawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej – ona zaś, stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

– Ludzie! Co się dzieje? Czego tu chcecie? – pytała, nie mrużąc oczu przed groźnymi spojrzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

– Kmicic spalił Wołmontowicze! – krzyknęła chórem szlachta. – Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

– My ludzi jego wybili! – rozległ się głos Butryma Józwy. – A teraz jego głowy chcemy!...

– Jego głowy! Krwi! Rozsiekać zbójcę!

– Gońcie go! – zawołała panna. – Czegóż tu stoicie? Gońcie!

– Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...

– Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

– W las uszedł! – zawołał jakiś szlachcic. – Hejże, panowie bracia!

– Milczeć! – huknął potężnym głosem Józwa Butrym. Po czym zbliżył się do panny.

– Panno! – rzekł. – Nie ukrywaj go!... To człek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę.

– Przeklinam go wraz z wami!...

– Amen! – krzyknęła szlachta. – Do zabudowań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

– Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stąpanie rozległo się na nowo. Szlachta wypadła przed ganek i siadała co prędzej na koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudowaniach, w stajniach, oborach, w odrynie – potem głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nasłuchiwała, dopóki zupełnie nie znikły, po czym zapukała gorączkowo do drzwi komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

– Nie ma już nikogo! Wychodź waść!

Pan Kmicic wytoczył się z izby jak pijany.

– Oleńka!... – zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonymi włosami, które pokrywały niby płaszczem jej plecy.

– Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia i uchodź stąd!...

– Oleńka! – jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

– Krew na waćpana rękę jako na Kainowym! – krzyknęła, odskakując jakby na widok węża. – Precz, na wieki!...

Rozdział VI

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgłiszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgli, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatków mienia. Był to dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, których padło najwięcej, nie było zaścianka, w którym by wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tym trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtężsi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się zasiekł w Lubiczu, ale zaraz okazało się to nieprawdą; więc przypuszczano, że się dostał do puszczy Zielonki, a stamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaszewicze mogli go wyśledzić. Wielu twierdziło też, że do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to co najmniej obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzelcom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach dla obrony, spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schyillingowie, Sołłohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto spodziewające się oblężenia. A zaś między zbrojnymi ludźmi, między szlachtą, między gromadami niewiast chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przeszywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niej to przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył ich spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin¹⁵⁹ nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która najbliżej go poznała, wiedziała o tym najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego, jakież ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł

¹⁵⁹ *bisurmanin* (daw., pogard.) – muzułmanin, Tatar a. Turek. [przypis redakcyjny]

być inny; że miał w sobie takie przymioty, które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy – podziw i miłość ludzką, zamiast przekleństw – błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczęście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwycił ją żal prawdziwie niezmierzony nad tym nieszczęśnikiem i niewygasła miłość nurtowała na nowo w sercu, podsycana świeżym wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano¹⁶⁰ przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pachołków do chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawymi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojną ręką poprzec, zbyt był sprawami publicznymi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach dotyczących domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

¹⁶⁰ oblatować – wpisać do ksiąg miejskich. [przypis redakcyjny]

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa stawał się łupem postronnych, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły uragać prawu – byle siłę czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując się przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadała z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli lżej oddychać. Moźniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na strażę do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęli się z wolna rozjeżdżać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę, jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki osiągnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majątność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przy tym w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nie tylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafnym, iż mógł jej go niejeden palestrant¹⁶¹ pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom

¹⁶¹ *palestrant* – daw. prawnik. [przypis redakcyjny]

go oddać, ale „panienka” odradziła stanowczo.

– Nie płąćcie gwałtem za gwałt – mówiła – bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoligacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racja będzie tak jasna, aby każdy sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśliby pan Kmicic na powrót się tu zjawił, niechże i jego zostawią w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów wszystko, co wychodzi z ust billewiczowskich, za ewangelię uważać; i Lubicz pozostał nietknięty – i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby być do czasu spokojnie w Lubiczu osiaść...

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek,

nikomu nieznany. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a kto by mu co złego uczynił, tedy on mu tym samym rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towarzyszków moich – wbrew prawom boskim i ludzkim – bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jaka by ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę też zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to śp. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlika, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroidły ramię moje wtedy właśnie, gdy – świadczę się Bogiem! – o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój całe odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mnie teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy najcięższa dla mnie pokuta,

bo straciwszy ciebie, w desperacji sypiam i w desperacji się budzę, nie mogąc ciebie ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami – wszystko zniose, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga, nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacji nieprzyjacielskiej i majątności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacja popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...”

Ile tam głosów litosnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwym mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecie za pierwszym słowem o wszystkim zapomnieć, wszystko przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą jakże to mogła powiedzieć

człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „Przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie oddaję ci swą miłość i swoją rękę.”

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tym, choćby mi się serce miało rozedrzeć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majątnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majątność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy, to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzie indziej szczęścia, najpierwej zaś boskiego, nie ludzkiego, przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...”

Panna Aleksandra połała łzami każde słowo listu, potem przypieczętowała go billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go pośłańcowi.

– Skąd jesteś? – pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwną postać pół chłopa, pół sługi.

– Z lasu, panoczka.

– A gdzie twój pan?

– Tego mnie nie wolno powiedzieć... Ale on stąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

– Masz talara! – rzekła Oleńka. – A twój pan nie w chorobie?

- Zdrowy on junak jak tur.
- A nie w głodzie? Nie w ubóstwie?
- On bogaty pan.
- Idź z Bogiem.
- Kłaniam do nóg.
- Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł – i znowu zaczęły płynąć dni, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły za to publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukraiennych, w samym Wielkim Księstwie województwa: połockie, smoleńskie, witebskie, mściśławskie, mińskie i nowogrodzkie, były zajęte; jeno część wileńskiego, brzesko-litewskie, trockie i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną piersią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni, widać, szczebel niemocy zesłała Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z którymi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa¹⁶²; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach i statysci, i wojownicy uręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo

¹⁶² *Hydra* – potwór w mit. gr., wielogłowy wąż, u którego na miejscu odciętej odrastały dwie lub trzy nowe głowy. Zgładzenie Hydry było jedną z prac Heraklesa. [przypis redakcyjny]

mogło i było w stanie nie tylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawiała owej możliwości na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze nie zajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpacz. Miejskowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia – więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, stąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo nie tylko w lasach, ale i na polach. Gdy zeszłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grasować głód, brat wojny, i rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu, nietrudno było spotkać trupy ludzkie leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całymi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkim o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyskiwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i

grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomysłne i te nieszczęścia dotąd niebywałe do imienia królewskiego są przywiązane. Tłumaczono chętnie, że litery: J. C. R., wybite na pieniążkach, znaczą nie tylko *Joannes Casimirus Rex*¹⁶³, ale i *Initium Calamitatis Regni*¹⁶⁴. A jeśli w prowincjach jeszcze przez wojnę niezajętych powstawał taki przestrah i bezład, łatwo się domyślić, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprzężona, targana przez partie, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy ogarnięte wichrem niezgody poglądały na się jakby nieprzyjacielskie państwa, a za nimi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbisem Wielkiego Księstwa Litewskiego, prawie w otwartą zmieniła się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym od dawna była solą w oku potęga radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkimi zaiste wielkiego hetmana obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szklowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej niż szczęścia Rzeczypospolitej

¹⁶³ *Joannes Casimirus Rex* (łac.) – król Jan Kazimierz. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁴ *Initium Calamitatis Regni* (łac.) – początek nieszczęść królestwa. [przypis redakcyjny]

pożądał dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamyślał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami¹⁶⁵ stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waśń ich odbijała się i na sejmach – na miejscu zaś rozprzęgła swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicic pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoro by po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzieniegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem ucierali się z wojskami nieprzyjacielskimi, niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami je szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do szkłowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znaczniejszych korzyści. Gosiewski to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ściągali wojska z leż zimowych i skąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje na nowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ściągać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel hamował.

¹⁶⁵ *partyzant* (daw., z fr.) – zwolennik, stronnik. [przypis redakcyjny]

„Trzeba było o tym przed szköłowską potrzebą pomyśleć – mówili gosiewszczycy – teraz za późno.” I istotnie było za późno. Koronne wojska przyjść z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebywałych krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarnieckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali z wolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w stronie laudańskiej. Jeni kalwini, ośmieleni bliskością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale za to przywódcy rozmaitych watah wolentarskich¹⁶⁶ i partyj nie wiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuścili swych łotrzyków – i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc z nagłą lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie z wolna do zdrowia

¹⁶⁶ *wolentarski* – ochotniczy. [przypis redakcyjny]

powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnymi chorągwiami, po czym wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta poczęła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, rękę oderwał od lemieszów¹⁶⁷ i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

¹⁶⁷ *lemiesz* – część pługa podcinająca skibę. [przypis redakcyjny]

Rozdział VII

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patriarchy pacunelskiego, którego miał reputację najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską. Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrym srebrem, dawszy każdej po talarów sto prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiantka¹⁶⁸ lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szklowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czcią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewiczowie i Stakjanowie, a za nimi inni dosyć wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzynę, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek¹⁶⁹, aby rycerzowi i jego czeladzi na niczym nie zbywało. Ilekroć czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po

¹⁶⁸ *familiantka* – szlachcianka z bogatego i wpływowego rodu. [przypis redakcyjny]

¹⁶⁹ *kałamaszka* – odkryty jednokonny pojazd czterośladowy bez resorów, używany na Kresach w XVII i XVIII w. Drewniane koła osadzone były na drewnianej osi, którą smarowano mazią w celu zmniejszenia oporów. [przypis redakcyjny]

cyrulika¹⁷⁰ do Poniewieża – słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanch¹⁷¹ mógł mieć i wygody lepsze, i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, którego by i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziem dla niej męża po świecie szukać! – mówili starzy na umyślnej sesji, na której oną sprawę roztrząsano. – Gdy tamten zdrajca bezecnymi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możemy na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera, i my sąsiada i wodza dostaniem.”

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi naprzód do pana Wołodyjowskiego, którego niewiele

¹⁷⁰ *cyrulik* – fryzjer zajmujący się też leczeniem lekkich chorób i wykonywaniem prostych zabiegów medycznych na podstawie wiedzy ludowej i doświadczenia. [przypis redakcyjny]

¹⁷¹ *Kiejdany* (lit. *Kėdainiai*) – miasto w środkowo-zach. części Litwy, położone nad rzeką Niewiażą, ok. 40 km na płn. od Kowna. [przypis redakcyjny]

myśląc na wszystko się zgodził, a potem do „panienki”, która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. „Lubiczem – rzekła – jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozrządzać i majątność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skazą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tym nie wspominajcie. Za dużo mam w sobie boleści, żebym o czymś podobnym myśleć mogła... Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywoźcie, bo wcale do niego nie wyjdę.”

Nie było co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodyjowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosły to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki¹⁷², a plecy szerokie. Pacunelki w ogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! A te trzy były między pacunelkami najpiękniejsze; do tego stary Gasztowt i na edukację nie żałował. Organista z Mitraków nauczył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodyjowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryskę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbytnio miała zwyczaj

¹⁷² *niezabudka* – niezapominajka. [przypis redakcyjny]

narzekać.

Nieraz, bywało, długimi wieczorami zimowymi stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodyjowskim siedą wedle komina; nieufna Terka kądziel przedzie, słodka Marysia darcie kwapiu¹⁷³ się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodyjowski zacznie opowiadać o wojnach, które przebył, albo o dziwach, które widział w różnych magnackich dworach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: „Ach! Ja nie żyję na świecie! Kochaniecyż wy moi!” – a druga odpowie: „Całą noc oka nie zmrużę!”

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora zasiedli jako zwykle po wieczerzy przed okapem, spod którego rażne światło padało na całą ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

– Sam waszmość zaśpiewaj! – odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał – ja mam robota¹⁷⁴. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

¹⁷³ *kwap* – pierze. [przypis redakcyjny]

¹⁷⁴ *robota* (dial. B. lp) – robotę. [przypis redakcyjny]

– Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam naprzód, a waćpanna po mnie. Robota nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewnie byś się nie przeciwiała, a mężczyźnie zawsze oporna.

– Bo warto.

– Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

– At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodajowski zabrzdakał w lutnię, nastroił pocieszną minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

– O, to niesprawiedliwie! – przerwała Marysia zarumieniwszy się jak malina.

– To jest żołnierska piosenka – rzekł pan Wołodajowski – którąśmy śpiewali na hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

– Ja bym się pierwsza użaliła.

– Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam po co dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodajowskiego, w której istotnie było więcej chytrości niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo”, poczęła śpiewać:

Nie kodź do lasu czypać bzu

I nie wierz kłopcę jako psu!
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,
Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!”

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął:

– Wszyscyż to chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesnurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią:

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

– Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! – rzekła Marysia.

– Jak nie mam uważać – rzecze pan Wołodyjowski – gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

– Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz – odpowiedziała nadąsana Terka.

– Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny – odparł rycerz. – Co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyszał. Waćpannę tylko w pluderki¹⁷⁵ przybrać, a mogłabyś u Świętego Jana śpiewać, którego kościół jest katedralny i królestwo mają w nim

¹⁷⁵ *pludry* – krótkie, bufiaste spodnie, część dawnego stroju dworskiego lub żołnierskiego. [przypis redakcyjny]

swój ganeczek.

– A czemuż by to ją w pluderkę trzeba ubierać? – spytała najmłodsza Zonia zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

– Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jeno mężczyźni i młode chłopcy: jedni grubymi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cienie nie można. Słyszałem ich wielokroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcję teraźniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnymi gorgami, i Kapuła, i Dżan Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Milczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

– Ot, to i pewno! Jako żywo! – rzekła, składając ręce, Marysia.

– A króla wasza mość często widywał? – pytała Zonia.

– Tak z nim gadałem jak z waćpanną. Po beresteckiej potrzebie za głowę mię ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

– My go, i nie widziawszy, kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

– Zaś by tam co dnia w koronie chadzał! Żelaznej by na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość kapelusz czarny nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

– Powiadają, że zamek królewski to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?

– Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nich to waćpanny ujrzenie rozmaite wojny i wiktorie, pędzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława; napatrzeć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisio¹⁷⁶ albo lama¹⁷⁷ kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów¹⁷⁸, puzder¹⁷⁹, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tego by na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum kwoli¹⁸⁰ większej jeszcze rozrywki...

– Cóż to takiego teatrum?

¹⁷⁶ *bisior* – cienka tkanina płócienna lub lniano-wełniana używana w dawnej Polsce a. jedwab morski, tkanina z przędzy małżów, bardzo rzadka i kosztowna. [przypis redakcyjny]

¹⁷⁷ *lama* – tkanina jedwabna przetykana złotymi lub srebrnymi nitkami. [przypis redakcyjny]

¹⁷⁸ *sepet* – skrzynka z szufladami do przechowywania klejnotów, dokumentów itp. [przypis redakcyjny]

¹⁷⁹ *puzdro* – skrzynka lub pudło z przegródkami, zwykle z zamkiem, okuciami i uchwytami. [przypis redakcyjny]

¹⁸⁰ *kwoli* (daw.) – dla. [przypis redakcyjny]

– Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedie grają i skoki włoskie misterne wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejeden kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

– O Jezu! – zawołały pacunelki.

– ...z diabłami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne osoby spuszcza się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

– Jeno bym piekła widzieć nie chciała! – zakrzyknęła Zonia – i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie puciekają.

– Nie tylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy – odrzekł pan Wołodyjowski – bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Nie masz w tym sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą, i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczy siadają.

– A z rana i w dzień co czynią?

– To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której nie masz podłogi, jeno cynowy dół jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

– Woda w komnacie... słyszałyście?

– Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają; żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzeczne nacje na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swoim przyozdobił.

– Szczęśliwy nasz król! – westchnęła Terka.

– Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzeczpospolitą gnębią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie było. Najlichszy nieprzyjaciół już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Tak to Bóg pychę karze. Chwałaż Mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo czas, wielki czas, za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

– Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominać.

– Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpankami, ale im mi lepiej, tym mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racje dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci – Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi,

co nie dla promocji, ale z afektu dla ojczyzny służą... A podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż w końcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

– Waćpan pójdiesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od napastników?

– Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

– Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą jak wilkołakiem.

– Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z tego, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę, i majątność utracił.

– I pannę.

– I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

– Po całych dniach ona, nieboga, teraz jeno płacze i płacze...

– Hm! – rzekł pan Wołodyjowski – przecie nie po Kmicicu płacze?

– Kto to wie! – rzekła Marysia.

– To tym gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądu byśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tym wiedzieć, że laudańscy wrócili, i ani nosa nie pokaże.

– Mają podobno nasi znowu ruszyć – rzekła Terka – bo jeno

na krótko dostali do domu pozwolenie.

– E! – rzecze pan Wołodyjowski – hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie nie masz. Desperacja prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy, pan Wołodyjowski wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale zaledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyczeć za drzwiami przeraźliwie:

– Hej tam! na miłosierdzie boskie! otwórzcie prędej, prędej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznany człek, który rzucił się do nóg rycerza.

– Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...

– Jaka panna?

– W Wodoktach...

– Kmicic! – wykrzyknął pan Wołodyjowski.

– Kmicic! – zawołały dziewczęta.

– Kmicic! – powtórzył posłaniec.

– Ktoś ty jest? – pytał pan Wołodyjowski.

– Włodarz z Wodoktów.

– My jego znamy! – rzekła Terka. – On driakiew¹⁸¹ dla waszej

¹⁸¹ *driakiew* – używany w medycynie ludowej uniwersalny lek roślinny, złożony

mości woził.

Wtem zza pieca wyłazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodajowskiego, których hałas zwabił do izby.

– Konie siodłać! – krzyknął pan Wołodajowski. – Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

– U Butrymów ja już był – rzekł włodarz – bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

– Kiedy panna porwana? – pytał Wołodajowski.

– Dopiero co... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł. Stary Gasztowt przetarł oczy.

– Co? panna porwana?

– Tak jest... Kmicic ją porwał! – rzekł pan Wołodajowski. – Jedziem z pomocą!

To rzekłszy zwrócił się do posłańca:

– Ruszaj do Domaszewiczów – rzekł – niech z rusznicami przybywają!

– Nuże i wy, kozy! – krzyknął nagle stary na córki. – Nuże, kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbój, warchoł... co?

– Pójdźmy i my budzić – rzekł Wołodajowski – będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników:

Ogarek i Syruć. Wszyscy puścili się drogą między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc wniebogłosy:

– Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicie w okolicy!...

Słyszając te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy, o co rzecz idzie, poczynął sam wrzeszczeć: „Kmicie w okolicy! Panna porwana!” – i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć albo do chaty szabliska po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmicie w okolicy!” – ruch czynił się w zaścianku, światła poczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Na koniec szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi, i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman wielki odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni, mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed którymi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

– Stój! kto jedzie? – poczęły wołać głosy z owego oddziału.

– Gasztowtowie!

– My Butrymi, Domaszewicze już są.

– Kto u was dowodzi? – pytał pan Wołodyjowski.

– Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

– Macie wieści?

– Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

– Do Lubicza? – pytał ze zdziwieniem pan Wołodyjowski. – Cóż on się tam myśli bronić? Przecie Lubicz nie forteca?

– W siłę, widać, ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyną.

– Dobra nasza! – rzekł pan Wołodyjowski. – To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

– U nas, Butrymów, sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

– Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecią bronić przepraw na bagnach – żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

– Wedle rozkazu!

Uczynił się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

– Gościewiczów nie widać? – pytał pan Wołodyjowski.

– A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! – zawołali nowo przybyli. – Gościewicz idą już... słysząc ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

– Wiem. Niedaleko z nią zajedzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy, nie mogli przybyć na czas, pan Wołodyjowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel – i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołmontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewicz, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodyjowski sprawił oddział i aż mu serce rosnęło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku¹⁸². Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodyjowski ucieszył się jeszcze i dlatego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi owym borem, przez który Kmicic dawniej codziennie przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach błyszczących. Szlachta

¹⁸² *ordynek* (z niem. *Ordnung*) – porządek, szyk. [przypis redakcyjny]

gwarzyła z cicha o nadzwyczajnym zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

– Chodzili tu rozmaici ludzie – mówił jeden z Domaszewiczów. – Myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

– A jakże. Co dzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów niby po jałmużnę – odrzekł drugi.

– A co to za żołnierz przy Kmicicu?
– Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się Kmicic z Chowańskim albo z Zołtareńką¹⁸³ zwąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

– Jakżeby to on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?
– Z tak wielką watahą niełatwo się przemknąć. Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

– Po pierwsze, mógł lasami iść, a po drugie, małoż to panów z dworskimi Kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół! Jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami¹⁸⁴ powiadali.

– Będzie on się bronił – mówił jeden z Gościewiczów – bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

– Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie stąd żywy. Oni na niego

¹⁸³ *Zołtareńko* – właśc. Zołotarenko, Iwan (zm. 1655), hetman kozacki, szwagier Bohdana Chmielnickiego, brał udział w zdobyciu Wilna (1654). [przypis redakcyjny]

¹⁸⁴ *semen* – Kozak na czyjejs służbie. [przypis redakcyjny]

najzawziętsi.

– Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiej by było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

– Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili? Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

– Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencja i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a już by ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

– Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję¹⁸⁵ ode dworu. Wszystkie okna były oświecone; jasność biła aż na podwórze, na którym pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności – widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął z cicha sam do siebie:

– Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu

¹⁸⁵ *staje* – daw. miara długości, w różnych okresach i okolicach licząca od 100 do 1000 m. [przypis redakcyjny]

krzątania była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili na powrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, było z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

– Wasza mość! – rzekł – cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

– Nie wywożą – odparł pan Wołodyjowski – nie tylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznaję jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży!

– Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

– Dobrze! – odrzekł pan Wołodyjowski. – Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

– Ta jedna, bo z tyłu stawy i bagna.

– To dobrze... Z koni, waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwały się w długą linię i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu.

– Czekać komendy! – rzekł z cicha. – Nie strzelać przed

rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

– Hej, a szto za lude¹⁸⁶?

– *Alt!* – zakrzyknął pan Wołodujowski. – Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodujowskiego:

– Biegiem!

– Bij, zabij! – odkrzyknęli laudańscy rzucając się naprzód jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Naprzód szli murem potężni Butrymowie, najsroźsi w ręcznym spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, depcąc, niweczając i tnąc zapamiętale; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicze.

Kmicicowi bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie, zdeptane, zagasły i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto kozactwo z podwórza

¹⁸⁶ *szto za lude* (z ukr.) – co za ludzie. [przypis redakcyjny]

ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta triumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

– Pod dwór! do drzwi! – zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście, pod samymi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeciądze niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków nabijanych raz przy razie olbrzymimi gwoździami, na których potężnych łbach szczyrbiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopcy parli od czasu do czasu ramionami – i to próżno! Drzwi miały z tyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną piersią. Inni, zamiast się mieszać, rąbali tym zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodajowskiego pozatykano otwory kłębami uczynionymi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopci z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie obleżonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

– Stój tam! Nie rąb! Słuchaj... Stój, do stu diabłów!... rozmówmy się.

Wołodajowski kazał przerwać robotę i spytał:

– Kto mówi?

– Chorąży orszański, Kmicic! – brzmiała odpowiedź. – A z kim mówi?

– Pułkownik Michał Jerzy Wołodajowski.

– Czołem! – ozwał się głos zza drzwi.

– Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

– Mnie by słuszniej zapytać: czego waść chcesz? Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

– Zdrajco! – zakrzyknął pan Michał. – Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili, i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną, i za tę pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest *raptus puellae*¹⁸⁷? Musisz tu gardło dać!

Nastąpiła chwila milczenia.

– Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą – rzekł znów Kmicic

¹⁸⁷ *raptus puellae* (łac.) – porwanie panny. [przypis redakcyjny]

– gdyby nie te drzwi, które nas dzielią.

– To je otwórz... tego ci nie bronię!

– Pierwej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

– To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

– Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loniczki już tlejące; dom wysadzę, wszystkich, co tu są, i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastąpiła jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał na próżno odpowiedzi. Szlachta poczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

– Dla Boga! – mruknął któryś z Butrymów – to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przyszła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

– Jest inny sposób! – zakrzyknął. – Wychodź ze mną, zdrajco, na szablę! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!

Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich były niespokojnie.

– Na szablę? – spytał wreszcie Kmicic. – Może to być!

– Jeśli tchórz nie oblatuje, to i będzie!

– Parol kawalerski, że odjadę wolno?

– Parol...

– Nie może być! – krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

– Cicho waściowie, do stu diabłów! – huknął pan Wołodyjowski. – A nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł:

– Będzie tak, jak wasza mość chce...

– A cóż tam? – pytał szydersko Kmicic. – Szaraczki się zgadzają?

– I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

– Niech przysięgają!

– Kupą tu, waszmościowie, kupą! – wołał pan Wołodyjowski na szlachtę stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównymi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

– Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, zem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór¹⁸⁸ i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tym od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach zaprzysiąc musicie na Boga Najwyższego i święty Krzyż...

¹⁸⁸ *samowtór* (daw.) – we dwóch, sam z kimś drugim, tu: pojedynek. [przypis redakcyjny]

– Poczekajcie jeno! – zawołał Kmicic – wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

– Panna tu zostanie – odparł pan Wołodyjowski – a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

– Nie może być!

– To się prochami wysadzaj! Już my jej odżałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastąpiła znów cisza.

– Niechże tak będzie – rzekł po chwili Kmicic. – Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjecie jej ni pod ziemią! Przysięgajcie!

– Przysięgajcie! – powtórzył pan Wołodyjowski.

– Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty Krzyż. Amen!

– No, wychodź, wychodź waść! – rzekł pan Michał.

– Pilno waszmości na tamten świat?

– Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczekać.

Pan Wołodyjowski usunął się w tył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światółka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską a młodą. Stanąwszy we drzwiach spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

– Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tym!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

– Jam jest – odrzekł.

– Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz – rzekł Kmicic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza. – Spodziewałem się znacznie większą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

– Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

– Gdzie staniemy? – spytał żywo Kmicic.

– Tu... podwórzec równy jak stół.

– Zgoda! gotuj się na śmierć!

– Takiś waść pewien?

– Widać, żeś w Orszańskim nie bywał, skoro o tym wątpisz... Nie tylko pewien, ale i żał mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... po co mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majątność, i Bóg widzi, swego tylko dochodzę... Prawda jest, żeś szlachtę w Wołmontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sędzi, kto tu pierwiej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficyjerowie czy nie swawolnicy, mniejsza z tym, dość że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi jako psów wściekłych za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany boskie zaprzysięgnę, żeś tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie

tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... po sąsiedzku. Lepiej wolę tak jak inaczej...

– A jacyż to ludzie z waćpanem teraz przyszli? Skądże wzięłeś tych pomocników? – pytał pan Wołodyjowski.

– Skąd wzięłem, to wzięłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

– Takiś to?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czymże mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc – inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawaj no teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

– Chciałeś! – rzekł Kmicic stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie spieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistym pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

– Dobrze się dzień zaczyna – rzekł pan Wołodyjowski – ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

– Wszystko mi jedno.

– Mości panowie! – zawołał pan Wołodyjowski zwracając się do szlachty – a skoczyć no po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane w czasie bitwy pochodnie i po jakimś czasie blisko pięćdziesiąt czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

– Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicic odparł od razu:

– Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

– Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokoło rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Cisza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był jak szczygieł w pogodny ranek.

– Zaczynaj waść! – rzekł Kmicic.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął jakby z niechcenia, pan Kmicic odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymali. Kmicic atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, niedbale czyniąc ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika – czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód – widocznie badał biegłość

Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny jak mistrz próbujący ucznia i coraz spokojniejszy; wreszcie, ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

– Pogawędzimy – rzekł – nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to to orszańska metoda?... Widać, tam sami musicie groch młócić, bo waćpan machasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskim najlepszy?... Ten cios jeno u pachółków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów odpędzać. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowo wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś!” – już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

– To się nazywa: wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanymi oczyma, chwiejący się, zdumiony nie mniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę¹⁸⁹ powtórzył po raz drugi:

– Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołymi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunawszy rękojeść do piersi, nadstawił

¹⁸⁹ *szerpentyna* (daw.) – szabla. [przypis redakcyjny]

ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią znów na strasznego przeciwnika.

Szmery głośnie poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za nim uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrwały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu, poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą – i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął zza pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów¹⁹⁰. Kmicic pieniał się, rzeził, na koniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta:

– Kończ... waść!... wstydu... oszczędź!...

– Dobrze! – rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szablą wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

– Żyje! – rzekł Wołodyjowski – nie padł na wznak!

I zagiąwszy połę Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

– Dobić zdrajcę... Dobić!... Rozsiekać!

¹⁹⁰ hajdawery – szerokie, bufiaste spodnie, typowy element stroju polskiej szlachty w XVII w.; szarawary. [przypis redakcyjny]

I kilku Butrymów biegło z dobytymi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto, rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach – szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wicher porwał – pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącymi oczyma:

– Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu męża, on zaś rzekł:

– Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie, szlachta będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

– On zdrajca! – mruknął któryś z Butrymów. – Takiego godzi się bić.

– Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcję niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

– Krzych Domaszewicz. On z dawna wszystkich na Laudzie opatruje.

– Niechże go zaraz opatrzy, potem na łoże go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd

mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu wypadłszy przez tylne okna domu skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmiciców kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś, szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka o wąskich grubo kratowanych oknach, zbudowana w kwadrat z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był wysadził dom prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami, i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

– Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas spod narzuconych włosów spojrzały na rycerza

oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuchu radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

– Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni strzasnęła w tył włosy i spytała:

– Kto waćpan jesteś?

– Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

– Słyszałam bitwę... strzały?... Mów waćpan...

– Tak jest. My to przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

– Dziękuję waści! – rzekła pospiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. – A z tamtym co się stało?...

– Z Kmicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwaląc się, sprawił.

Wołodyjowski wyrzekł to z pewną chętnością, ale jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, na koniec siadła ciężko na tejże samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo.

– Co waćpannie jest?

– Nic... nic... Czekać waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

– Co mnie pan Kmicic! – przerwał Wołodyjowski – tu o waćpannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

– Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

– Pan Kmicic ranny – odpowiedział zdumiony pan Wołodyjowski.

– Żyje?...

– Żyje.

– Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodyjowski stał przez chwilę ruszając mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

– Zali¹⁹¹ mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wносиło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętymi oczyma i soplami czarnej

¹⁹¹ *zali* (daw.) – czy. [przypis redakcyjny]

krwi we włosach.

– Wolno tam! – mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz.
– Wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma.
Wolno!...

– A czym będziem trzymać, kiedy ręce zajęte – odpowiedzieli idący w przdzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

– To panienka!... – rzekł Krzych Domaszewicz.

– To ja... Ostrożnie!... – odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

– Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrów, bo młody. Ale tego dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

– Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniała się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

– Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza rzekła:

– Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła błąda, chwiejąca się, z zaciśniętymi ustami i ogniem w oczach.

– Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! – wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy cłapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosą pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamyślony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy patrzące spoza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

– Dziw, jak cudna! – mruczał sam do siebie. – Istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę, a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby z samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłową wyrozumie... Patrzyła na mnie jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowejś, czy z konfuzji¹⁹²...

¹⁹² *konfuzja* (z łac.) – zmieszanie, zawstydzenie. [przypis redakcyjny]

Rozdział VIII

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecie to szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekurowała¹⁹³ go bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał po kawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; po prostu zdobył ją jak fortecę... Czyżby ona, jeśli nie jego? Możeli mu czegokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nuż by popróbował? Nuż by z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tym bardziej należy mu się o to postarać.

„A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?”

– Nie może być! – powtórzył sobie pan Wołodyjowski. – Gdyby go nie odpałiła, to by jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwykajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi, choćby nieprzyjaciółmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej za mąż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacji¹⁹⁴, bo już by poszła. Było czasu

¹⁹³ *zrekurować* – odrzucić oświadczyzny, odmówić ręki. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁴ *wokacja* (z łac.) – powołanie. [przypis redakcyjny]

dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnymi oczyma oglądać mogła.

– A i tobie czas się ustatkować, Michałku! – mówił do siebie pan Wołodyjowski. – Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużyysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między nimi i bardzo urodziwe, i z wielkiej krwi idące, ale milszej nie było i zacniejszej, i godniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tym bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

– Co tu zwłóczyć! – mówił sobie. – Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować¹⁹⁵.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholęcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał – wiedział przecie, co ojczyźnie winien, i o spoczynku nie myślał.

¹⁹⁵ *tentować* (z łac.) – próbować. [przypisy redakcyjne]

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie miał pod tym względem czyste, czuł swoją wartość i to dodawało mu otuchy.

„Inni się warcholili, a jam się bił – myślał sobie. – Pan Bóg żołnierzykowi nagrodzi i teraz mu dopomoże.”

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko od razu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wziąć¹⁹⁶, albo zjeść arbuza¹⁹⁷.

– Jadłem nieraz, zjem i teraz! – mruczał pan Wołodyjowski ruszając żółtymi wąsikami. – Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tym nagłym postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, by mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

– Może to i nie będzie po kawalersku?

Ba! ale za cóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rok bym w zaloty jeździł i w ślepki¹⁹⁸ ci patrzył, ałem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!”

¹⁹⁶ *wziąć* – dziś popr.: *wziąć*. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁷ *zjeść arbuza* – pogodzić się z odmową, przyjąć odrzucenie oświadczyn. [przypis redakcyjny]

¹⁹⁸ *ślepki* – oczy. [przypis edytorski]

– Tak i pojedę! – mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała od razu nie oddam.”

Wtedy wszystko przepadnie.

Że przepadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gaś jak słoma.

Wtedy wszystko przepadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu-tułacz, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauzem¹⁹⁹ złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi Kmicicowych w niewolę wziętych, któren staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

– A co ty tu robisz? – pytał pan Wołodyjowski.

¹⁹⁹ *cekhaus* (z niem.) – arsenał, zbrojownia. [przypis redakcyjny]

– Hraju, pane²⁰⁰ – odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

– Skąd ty jesteś? – pytał dalej pan Michał, kontent²⁰¹, że ma jakąś w rozmyślaniach przerwę.

– Z daleka, pane, spod Zwiahla²⁰².

– Czemużes to nie umknął jako reszta twoich towarzyszków? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, ledwie z was łyka zdjęto.

– Ja nie ucieknę. Tu zdechnę jak sobaka²⁰³.

– Takżeś tu sobie upodobał?

– Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwinęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła. Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Na co mnie odchodzić?

– Któraż ci tak dogodziła?

– Marysia.

– I ty już ostaniesz?

– Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostanę.

– Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

²⁰⁰ *Hraju, pane* (ukr.) – gram, panie. [przypis redakcyjny]

²⁰¹ *kontent* – zadowolony. [przypis redakcyjny]

²⁰² *Zwiahel* – miasto w póln. części Ukrainy, dziś: Nowogród Wołyński. [przypis redakcyjny]

²⁰³ *sobaka* (ukr.) – pies. [przypis redakcyjny]

– Ne znaju, pane²⁰⁴.

– Pierwej by takiemu hołyszowi²⁰⁵ śmierć dał niż córkę.

– U mnie czerwonce w lesie zakopane: dwie garści.

– Z rozboju?

– Z rozboju, pane.

– Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz szlachcic.

– Ja z bojarów putnych²⁰⁶.

– Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż chłop, boś zdrajca.

Jakże to mogłeś nieprzyjacielowi służyć?

– Ja mu i nie służył.

– A skądże was pan Kmicic brał?

– Z gościńca. Ja służył u pana hetmana polnego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co jeść. Do domu nie miałem po co wracać, bo spalony. Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi poszedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż dotąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami pożyczonymi u nieprzyjaciela.

– To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

– Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale tak i od nich zbiegli na gościńce.

²⁰⁴ *Ne znaju, pane* (ukr.) – nie wiem, panie. [przypis redakcyjny]

²⁰⁵ *hołysz* (z ukr.) – golec, nędzarz. [przypis redakcyjny]

²⁰⁶ *bojar putny* – uboższy szlachcic litewski lub ruski, służący u bogatszego pana. [przypis redakcyjny]

– I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

– Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w miešek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrzał na wybladłego bojarzynka i znów głową pokręcił.

– Także ty ją miłujesz?

– Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał sobie: „Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał: pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toć to tenże gatunek co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwonce wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawztał, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!”

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł²⁰⁷ sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać? ... Wypadło mu, żeby jechać.

– Pojadę, nie może inaczej być!

To rzekłszy zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

²⁰⁷ *począł* – zaczął. [przypis redakcyjny]

– Syruć – rzekł pan Wołodyjowski – a grzywa u Basiora zapleciona?

– Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodyjowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.